

Nr. 28.



75898

III

Z

P

Siarny

30 h. — 25 fen.



SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.



Kraków,

dnia 11 grudnia 1909.

Z treści:

Demon z Stamford-Hill.

Wychodził w każdą
sobotę.



Z naciągniętym łukiem stanął nieznajomy naprzeciw Szerloka Holmesa i Harry Taksona.

**Przedruk
wzbroniony.**

Prenumerata kwartalna (13 numerów) wraz z przesyłką pocztową kor. 3 60, mk. 3-60, rs. 2—.

Sherlok Holmes

Tygodnik kryminalny.

Redakcja i Administracja: ul. Zielona 7.

Prawo przekładu na
inne języki zastrzeżone.

Cena numeru pojedynczego 30 hal.,
25 fen., 15 kop.

Wychodzi w każdą sobotę.

Nr. 28.

Kraków, dnia 11 grudnia 1909.

Nr. 28.

ZE ŚWIATA.

Klub samobójczyń.

Trzy młode panienki postanowiły sobie, że razem umrą. Jak się teraz pokazuje, nie miały tak dalece żadnego powodu do tak strasznych zamiarów, jeżeli nie weźmiemy pod uwagę przesytu i znudzenia się życiem, co u tak młodych istot także zastanowić musi. Jedna z nich zażyła truciznę, mianowicie lysol, a jej przyjaciółki poszły za jej przykładem. Odniosły wskutek tego ciężkie wewnętrzne obrażenia i obecnie leżą wszystkie trzy w szpitalu w Krakowie.

Która z nich podjęła pierwszą myśl założenia „Klubu samobójczyń” — nie można było dobiec. Zdaje jednak, że pierwsza, która truciznę zażyła, wpłynęła w tym kierunku na swoje koleżanki.

Alojza Doleżał, Katarzyna Scharl i Alojza Dachsbacher były rówieśnicami, mniej więcej w 16 roku życia. Ostatnia z nich mieszkała przedtem u rodziców, była dobrą i pilną uczenicą. Przed dwoma laty zachorowała na dyfterytys, a po wyzdrowieniu zmieniła się nie do poznania. Stała się leniwą, nie lubiącą pracy, dom rodzicielski jej obrzydł, chciała być zupełnie swobodną i niekarpowaną — i opuściła wreszcie rodzinę. W domu Doleżałów znalazła przytułek i tu zawarła przyjaźń z córką pani Doleżałowej, Alojzą.

Usiłowania rodziców, by ją skłonić do dawnego trybu życia — pozostały bez skutku. Zarazem wystąpiły u niej objawy niepoczytalności umysłowej. Często mówiła, że życie jest dla niej ciężarem, i że jedyne wyjście — widzi w samobójstwie. Rodzice nie przywiązywali do tych gadań większej wagi, pomimo, że dziewczyna w ciągu roku trzy razy usiłowała straszny swój zamiar w czyn wpro-

wadzić, a mianowicie przez zatrucie się sublimatem, fosforem, a wreszcie strzałem z rewolweru. Ale sposób w jaki te zamachy na swe życie wykonywała, nie robił wrażenia, że rzeczywiście dziewczyna chce się z życiem rozstać.

Jaka umowa stanęła między trzema przyjaciółkami — niewiadomo. Na każdy sposób postanowiły zginać samobójczą śmiercią, a pierwsza dała przykład Doleżałówna.

Wypiła wieczór w domu lysol, a gdy jej niesiono pomoc, oświadczyła, że przykre stosunki domowe skłoniły ją do rozpaczliwego kroku. Planu swych koleżanek nie zdradziła. Przeniesiono ją w ciężkim stanie do szpitala.

Wkrótce potem odwiedziły ją w szpitalu obydwie jej przyjaciółki. Pożegnawszy się czule z umierającą, przeniosła panna Dachsbacher rzeczy swoje z domu Doleżałów do rodziców mówiąc: „Niech obce ręce nie dotykają mojej własności!” Rodzice zrozumieli, że jest to aluzja do samobójstwa, ale również seryo tego nie brali. Mówili tylko do siebie: „Wróciła do domu, żeby nas straszyc!”

Potem poszła do swej przyjaciółki Scharl, zabrała ją z domu i kupiła lysolu w jednej z drogueryi. Następnie udały się obydwie do pobliskiego parku, gdzie każda z nich wypiła po 50 gramów trucizny.

Przechodnie zauważyli dwoje młodych dziewcząt, wijących się z bólu na ławce. Zawezwano pogotowie ratunkowe, które zaaplikowało im zaraz odtrutki i przewiozło do szpitala. Pierwsza z nich podawała jako motyw samobójczego zamachu — przesyt życiem, druga — przyjaźń.

Stan wszystkich trzech dziewcząt jest groźny.



Z cyklu przygód Szerloka Holmesa.

DEMON Z STAMFORD-HILL.

ROZDZIAŁ I.

Nieoczekiwane zakończenie soirée.

Wspaniała willa dyamentowego króla, Toma Dunde, w Hornsey pod Londynem, późną jeszcze nocą tonęła w morzu światła. Około trzeciej dopiero nad ranem światła w willi poczęły stopniowo gasnąć, pogrążając ją w mrokach nocy.

Ciszę nocy przerywał hałaśliwy turkot powozów, dorożek i automobilów, które nieprzerwanym łańcuchem zajeżdżały przed obszerny podjazd i rampę pałacu, zabierając do domów tłumy eleganckich gości, uczestników przyjęcia u bogatego właściciela afrykańskich kopalni dyamentów.

Honory domu czyniła mrs. Ellen Dunde, uderzająco piękna kobieta. Wykwintna empirowa suknia z wytwornym smakiem kryła smukłą jej postać, równą uroczemu zjawisku. Wspaniały dyadem wieńczył jej skronie i czoło, otoczone bujną falą olśniewająco czarnych włosów.

Tom Dunde odprowadzał niektórych z gości, towarzysząc im przez ogród, oświetlony mnóstwem barwnych lampionów.

Ostatni goście opuścili wreszcie willę. Służba zgasiła światła w górnych piętrach i udała się do antresolu. Pani Ellen Dunde raz jeszcze wróciła do wielkiej sali przyjęć, w której olbrzymie zwierciadła wraz z jej postacią, odbijały w licznych jaszkrawych refleksach świetlnych płomienie świeczników.

Była piękna, a wiedziała, iż urokowi jej postaci nikt oprzeć się nie zdoła.

Dziś wszyscy goście, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, składali jej nieklamane hołdy. Maż,

najbogatszy człowiek w Londynie po Cecylu Rliodesie, a ona panuje nad wszystkimi.

Już zabierała się do opuszczenia sali, gdy nagle podejrzanym szelest wstrzymał ją z przestachem na miejscu. Nie mogła dojść, skąd szmer pochodzi, czy z górnych piąter, czy też z ogrodu.

Służba znajdowała się już w najdalszych pokojach, a wszystko prócz sali, w której sama stała pogrążona, było w ciemnościach. Nagle dał się słyszeć trzask — a potem cisza. Stała i nasłuchiwała pełna troski.

Szelest, który Ellen Dunde usłyszała, w istocie pochodził z górnych pokoi i to właśnie z jej garderoby. W czasie, gdy willę opuszczali ostatni goście, z przeciwnej strony domu skradał się przez pogrążony w ciemnościach ogród, drab odrażającej postaci.

Twarz złoczyńcy mogła każdego przejąć grozą. Pijaństwo i zezwierzęcenie zdusiły już dawno resztki uczuć ludzkich w duszy tego człowieka. Wyłupiaste oczy o zmaconym wyrazie, iskrzyły się drapieżnie, skoro tylko skierowały się na jakikolwiek przedmiot. Usta rzezimieszka, potwornie szerokie, kryły wzdęte, nienaturalnie wargi. Zapadłe i szare policzki i niskie czoło, pokryte gęstym rudym włosem, dopełniały odrażającego obrazu.

Bandyta zdawał się być dokładnie obznajomionym z rozkładem całego domu. Gdy usłyszał głośnie w oddali szmer głosów, zbliżył się tuż pod dom, oparł się nogami o mur i objawwszy rękoma gruby drut gromochronu z kocia zručnością począł wspinać się do góry. Doszedłszy do pierwszego piętra, zawisł chwilę nieruchomo, nad słuchując, poczem jednym potężnym susem przebył otwarte

okno i wszedł do wnętrza domu, znikając w przyległym pokoju. Była to właśnie nbiernia mrs. Dundee. Złoczyńca odpiął od pasa ślepią latarkę i zaświeciwszy ją, rozpoczął poszukiwania. Z pomrukiem zadowolenia rzucił się na leżącą na stole szkatułę. Ta zawierała klejnoty mrs. Dundee, głównie wiele wspaniałych brylantów, stanowiących pokaźny majątek. Szkatuła była tak ciężka, iż rabuś nie mógł marzyć o wyniesieniu jej przez okno. Napróżno próbował również podnieść wieko szkatuły bez odgłosu. Po krótkim namyśle podważył wieko szkatuły stalowym dłutem i z trzaskiem, który właśnie doszedł uszu mrs. Dundee, wyłamał ją. Z gorączkowym pospiechem i namiętnością wypełnił kieszenie swe kosztownymi brylantami i bez szmeru zniknął za oknem, umykając tą samą drogą, którą przybył.

W kilka minut później, przez tę samą część parku, na którą z sali przyjęć wychodziły wielkie szklane drzwi i marmurowe schody, szedł ukradkiem młody, silnie pokrwawiony mężczyzna, ubrany z wyszukaną elegancją.

Twarzy jego nie można było rozeznaczyć, gdyż była zupełnie zbroczona krwią. Cała zewnętrzna jednak postać, bystrość spojrzenia i energia ruchów wskazywały, iż jest to Amerykanin. Z wielką ostrożnością postępował on naprzód; pomалу przebył marmurowe schody i oparł twarz na sztybach drzwi, spoglądając do wnętrza sali. Na tem samem miejscu stała tu jeszcze mrs. Dundee, z ręką na sercu, trwożnie nasłuchując.

Wtem spojrzenie jej padło na szyby drzwi. Krwawa maska bez rysów z szeroko otwartymi oczyma spoglądała na nią stamtąd. Z przenikliwym okrzykiem zgrozy padła na widok ten bez zmysłów na ziemię.

Amerykanin silnem pchnięciem wyważył drzwi i wskoczył do sali. Z dzikością, w chwili tej wprost niezrozumiałą, rzucił się na leżącą bezwładnie i nie bacząc na krwawe ślady, jakimi okrył jasny jej strój i szyję, przycisnął mrs. Dundee z całych sił do piersi.

Szybkie kroki dały się słyszeć za drzwiami. Młodzieniec, pozostawiając omdlałą, rzucił rozpaczywym okiem naokół, szukając schronienia.

Pod ścianą sali, zaledwie dziesięć kroków od młodzieńca, stała wysoka hiszpańska ściana. Bez namysłu rzucił się w tą stronę i znikł za parapetem. Przeciwległe drzwi otwarły się w tej chwili i do sali wszedł Tom Dundee. Badawczem spojrze-

niem obrzucił całą salę i ujrzał na podłodze leżącą bez ruchu żonę. Pospieszył do elektrycznych dzwonek i w jednej chwili zaalarmował cały dom. Następnie rzucił się ku omdlałej, zaniósł ją na sofę i rozpoczął ją trzeźwić.

Do sali nadbiegli dwaj służący i pokojówka, mrs. Dundee odzyskała już jednak przytomność. Błędem spojrzeniem wodziła chwilę po obecnych, dopiero, gdy spostrzegła męża, oblicze jej rozjaśniło się.

— To ty, Tomie?

— Pewnie — — Któż miałby więc być? No napędziłaś mi niemało strachu, Ellen. Ale jak ty wyglądasz? Skąd pochodzi krew na twej sukni? Co tu zaszło?

— Napadnięto mnie — a właściwie nie — zdawała się namyślać i zamilkła. Delikatny rumieniec zabarwił równocześnie blade jej lica.

Oczy małżonka błysnęły ponuro. Nie zważając na obecność służby, ujął brutalnie żonę za ramię.

— Mów — kto był tutaj? Kto poważył się napaść na ciebie?

— Wyjaśnię ci to na gorze, Tomie; nie chcesz chyba kompromitować siebie i mnie wobec ludzi? Obawiam się, czy nie zaszło jakie nieszczęście.

W każdym jednak razie, człowiek, który, jak się zdaje, godził na me życie, umknął.

Tom Dundee zwrócił się do służących:

— Jean, Jack, przeszukać cały ogród! Wszystkie bramy w parku mają być raz na zawsze ściśle rewidowane. Człowiek, mimo krat i murów, nie jest już we własnym domu bezpiecznym.

W chwili, gdy Tom Dundee daleko głębiej zajęciem wzburzony, niż się zdawało, zamierzał żonę odprowadzić do górnych komnat, rozległo się do bramy domu gwałtowne pukanie. W drzwiach sali ukazał się kamerdyner:

— Łaskawy panie — meldował — inspektor policji z dwoma konstablami pragnie z panem rozmowy.

Tom Dundee wyprostował się, a widząc, iż żona pragnie odejść, rzekł do niej niemal porywczo:

— Nie odchodź, zostań! Nie wiadomo, o co się rozchodzi. W każdym jednak razie będzie dobrze, gdy...

Urwał nagle i zwrócił się do służącego:

— Wpuścić inspektora, niech tu wejdzie.

Służący wrócił wkrótce w towarzystwie mężczyzny w stroju cywilnym.

— Najmocniej przepraszam pana, mr. Dundę, że tak późną nocą muszę go niepokoić. Nieoczekiwane jednak i smutne zdarzenie z obowiązku sprowadza mnie w pańskie progi.

— Co się stało, panie inspektorze? — zapytał Tom Dundę, cofając się kilka kroków.

— Lord Chesbourn został zamordowany. Ciało jego leży w rowie przy gościńcu, niespełna dwieście kroków od pańskiego ogrodu.

Wiadomość ta wywarła wstrząsające wrażenie na mrs. Dundę. Z przenikliwym okrzykiem grozy, zakryła twarz rękoma. Mr. Dundę spojrzał na nią z niepokojem.

— Zamordowany? — zapytał z ociąganiem. — Czy to pewne, inspektorze?

— Tak pewne, jak przed panem stoję, mr. Dundę. Wbito mu z tyłu z całym rozmachem nóż w kark, w kręgi pacierzowe.

Gdyśmy go znaleźli, pozostawało mu zaledwie kilka minut życia. Na zapytanie moje, kto dokonał tego zbrodniczego czynu, ranny z wysiłkiem poruszył wargami, pragnąc mówić — żaden jednak dźwięk mowy nie wyszedł z ust jego. Moi konstable zbadali tymczasem całą ziemię w okół, nie odkryli jednak najmniejszego śladu. W ostatniej chwili, konający wyciągnął ramię i wskazał ręką na pańską willę, mr. Dundę. Był to już ostatni jego znak. Bez życia osunął się z rąk naszych na ziemię. Wydałem już polecenie odstawienia zwłok do Londynu.

— Skąd wiedziałeś pan, że zmarły to lord Chesbourn? — zapytał Tom Dundę.

— Stwierdzały to papiery znalezione przy nim, zresztą znałem go osobiście. Dzisiejszego wieczoru był jeszcze pańskim gościem, nieprawdaż?

— Rzeczywiście, inspektorze. Sam jeszcze wprowadzałem go. W jaki sposób wyszedł on jednak na gościeńiec, pozostanie dla mnie zagadką.

— Wyjaśni się to nieco później, mr. Dundę. Teraz muszę zarządzić rewizję w pańskim domu. Przykry to obowiązek, lecz proszę nie brać mi go za złe. Możliwem bowiem jest, iż morderca po zbrodni skierował się ku willi, by tu gdziekolwiek znaleźć ukrycie. Telefonowałem już o posiłki na najbliższy posterunek policyjny i sądzę, że za kilka minut cały park i ogród będzie przez konstabli otoczony i zamknięty. Pan, mr. Dundę, zechcesz towarzyszyć mi w czasie rewizji willi.

Mr. Dundę wzruszył ramionami i wyciągnął rękę.

-- Cały dom oddaję panu, panie inspektorze,

do dyspozycji. Lord Chesbourn był osobistym moim przyjacielem i co tylko będzie możliwe do zrobienia z mej strony dla wykrycia nędznika, który pozbawił życia tego zacnego człowieka — liczę pan na mnie! Czy zaczniemy od tej sali?

Inspektor zgodził się, i odwróciwszy się, krótko gwizdnął. Na sali pojawili się w tej samej chwili dwaj konstable.

— Czy posiłki nadeszły? — pytał urzędnik przybyłych.

— Well — odparł jeden z konstablów — cały dom i park jest tak ściśle otoczony, że myśle nie ujdzie.

— Wobec tego rozpoczniemy rewizję od tej sali. Przeszukać każdy kąt, każdy mebel, nic nie opuszczać. Po ukończonej rewizji, każdy pokój ma zostać zamknięty!

Konstabile, oddawszy zwierzchnikowi ukłon, rozpoczęli przeszukiwanie sali.

Mrs. Dundę w czasie całej rozmowy, stała jak skamieniała i dopiero gdy konstable rozpoczęły rewizję, zwróciła się do inspektora, twierdząc, iż rewizja sali jest zbyteczna, gdyż nie opuszczała jej po odejściu gości ani na chwilę.

Nie wpłynęło to zupełnie na urzędnika, natomiast rozpoczął badanie, skąd pochodzą plamy krwi na jej sukni.

— Człowiek obryzgany krwią napadł na nią — wtrącił szybko Tom Dundę, widząc, że żona milczy — nieprawdaż?

— Tak — skinęła milcząco, wodząc z przestrachem oczyma po splamionej krwią sukni.

— Sprawa zaczyna się wyjaśniać — rzekł inspektor. — Krwawe ślady na sukni pani spostrzegłem zaraz po wejściu na salę. Morderca niewątpliwie znajduje się gdzieś w pobliżu.

Słowa inspektora jeszcze nie przebrzmiały, gdy stojąca w pobliżu ścianka hiszpańska runęła z łoskotem na ziemię, a do rozmawiających przystąpił młody człowiek, który się dotąd tam ukrywał. Zanim ochłonęli wszyscy z przestachu, który wywołało pojawienie się nieznajomego, ten zabrał głos:

— Popeliłem nieostrożność, obejmując tę damę — wyrzekł z pewnością siebie, ku zdumieniu mężczyzn. — Stało się to jednak bez żadnego złego zamiaru z mej strony. Mrs. Dundę na widok mój zemdlą, usiłowałem więc przenieść ją na sofę i przywrócić do przytomności.

Konstabile zbliżyli się, otaczając zagadkowe zjawisko nieznajomego.

— Kto pan jesteś — zapytał szorstkim tonem inspektor.

Młody człowiek zwlekał chwilę z odpowiedzią, po namyśle jednak wyrzekł z godnością:

— Nazwisko me brzmi James Fairhatter, jestem attaché amerykańskiej ambasady. Oto mój paszport i legitymacja.

Wyciągnął portfel i oddał inspektorowi swe papiery.

Ten oglądał je przelotnie i już nieco uprzejmiejszy, dotknął ręką czapki.

— Wszystko zgadza się, mr. Fairhatter. Mam tylko jeszcze dwa pytania zadać panu: Dlaczego kryłeś się pan w tym salonie za hiszpańską ścianą? — I skąd pochodzi, że pan cały jesteś zbрызganym krwią?

Młody człowiek, przerastający obecnych o wysokość głowy, utkwiał oczy w ziemię.

— Krew, którą jestem zbrozczony, pochodzi z gwałtownej walki, którą w ciemnościach musiałem w ogrodzie stoczyć z jakimś obcym człowiekiem. Nie mogąc w podobnym stanie wracać do domu, schroniłem się tutaj i ukryłem.

— Nie sądzi pan chyba, że damy wiarę podobnym bajeczkom — zaśmiał się szyderczo inspektor. — Nie byłoby to rozsądniej od razu zeznać całą prawdę?

— Nie mam nic do zeznania, inspektorze!

— Przypuszczam, że nawet w Ameryce nie zdziwiłbyś się pan, mr. Fairhatter, gdyby go w podobnych okolicznościach aresztowano. W imieniu prawa aresztuję pana.

Attaché cofnął się wstecz. Ujęto go w tej chwili.

— Odprowadzić go! — rzekł inspektor. Następnie zwrócił się do państwa Dundę, przeprosił ich za wyrządzoną przykrość i oddalił się.

Skoro tylko państwo Dundę znaleźli się sami, mr. Dundę zgrzytając zębami, przystąpił z zaciśniętymi pięściami do żony:

— Jeśli ci życie miłe, Ellen, powiedz prawdę! Wiedziałaś, że ten człowiek ukrywał się za hiszpańską ścianą?

— Lepiejbyś zrobił, wylewając wściekłość swą na kogo innego. Nie obrażaj mię! Mężczyznę tego ujrzałam po raz pierwszy na dzisiejszej zabawie w naszym domu.

Z tymi słowy opuściła salon i udała się do swych apartamentów. Tam w milczeniu pozostał na miejscu.

ROZDZIAŁ II.

Niespodzianki.

Przed wspaniałym domem w Stepney zatrzymała się dorożka, z której wysiadł Sherlock Holmes i wszedł szybko do bramy. Na schodach oczekiwał go inspektor Mc. Gordon.

— Zagadki i niespodzianki jedna za drugą, mr. Holmes! — zawołał. — Ten Londyn to istne gniazdo dyabelskie. Wczoraj uwięziono mr. Fairhattera, dziś zamordowano jego siostrę.

Sherlock Holmes w towarzystwie Harrego Taksona wszedł do sypialni Amerykanki.

Na szerokim łóżku leżały zwłoki młodej dziewczyny. Gdyby nie świadectwo koronera, stwierdzające śmierć, możnaby było przysiąc, że dziewczyna spoczywa we śnie. Gęste, złotawe włosy, otaczały małą, śliczną twarzyczkę i spadały na wspaniałe ramiona. Sherlock Holmes spojrzał na zwłoki i rzekł:

— Nieszczęśliwa została uduszoną.

Inspektor skinął twierdząco.

— Podzielam pańskie zdanie, mr. Holmes. Koroner jednak nie stwierdził tego jeszcze, gdyż nie znalazł na to dowodów. Na szyi bowiem — jego zdaniem — powinienby był zostać wyraźny odcisk ręki zbrodniarza.

— Zmarłą jednak uduszono nie ręką lecz sznurkiem — rzekł Sherlock Holmes, wskazując na cienki, zaledwie widoczny ślad, ciągnący się około szyi.

— Zresztą, jest tu narzędzie zbrodni — dodał, podnosząc z ziemi kawałek jedwabnego sznurka i chowając go do kieszeni. Oczy detektywa zatrzymały się następnie na dwóch krwawych plamach na kołdrze. — Ślady te pochodzą prawdopodobnie od ręki — rzekł do Harrego. — Sądzę, że morderca, wchodząc do pokoju przez okno, skaleczył się w rękę. W pokoju zaległa cisza.

Oczy Szerloka Holmesa błędziły uporczywie po kołdrze. Nagle wielki detektyw wyciągnął szybko rękę i wyjął z pomiędzy fałdów jakiś błyszczący przedmiot.

— Masz pan oczy, jak ryś — zawołał z podziwem inspektor — myśmy tego nie zauważyli. Klejnot ten jest widocznie własnością zamordowanej.

— Niekoniecznie — zauważył wielki detektyw.

— Przywiązujesz pan jakąś szczególną wagę do tego odkrycia? — pytał inspektor.

— Większą, niż pan myślisz — odpowiedział — oddając Harremu brylant. Następnie rozpoczął Szerlok Holmes przeszukiwanie całego pokoju, według swojej wypróbowanej metody.

— Wiem już, jakie są pańskie najbliższe zamiary — zawołał nagle Harry Takson. — Podczas drogi, powiedziałeś mi, mistrzu, że między aresztowaniem attaché, mr. Fairhattera, a zamordowaniem jego siostry, zachodzi ścisły związek. Przypuśćmy, że attaché jest niewinny, w takim razie znajdziemy odpowiedź na pytanie: dlaczego zamordowano jego siostrę. Sameś mi powiedział, mistrzu, że kochała ona brata swego nad wszystko. Jeżeli więc miał ktoś interes w aresztowaniu, a jeśli to możliwe i w zasądzeniu attaché za morderstwo lorda Chesbourn, to przedewszystkiem musiał starać się o usunięcie siostry, jego jedynej krewnej, któraby wszystko poruszyła, aby wykryć prawdziwego mordercę. Wobec tego mordercy miss Fairhatter należy szukać tam, gdzie dokonano morderstwa lorda Chesbourn.

Szerlok Holmes uściśkał serdecznie swego młodego towarzysza

— Ogdadłeś moje myśli — rzekł — z każdym dniem czynisz postępy. Idź teraz do domu i poczyń przygotowania do nocnej wycieczki.

— Allright, mr. Holmes — odrzekł Harry i wyszedł.

Szerlok Holmes dopiero w kilka godzin później, gdy już zapadł gęsty mrok, wrócił do domu.

Na stole położył odebrany od Harrego dyament, który wspaniale błyszczał w świetle elektrycznym.

— Jesteś zmęczony, mistrzu — wyrzekł Harry Zdaje mi się, żeś złożył wizyty wszystkim jubilerom londyńskim.

— Nie wszystkim, byłem tylko w większych sklepach. Dyament ten sprzedano w City, w firmie Harrison & Co., przed dwoma miesiącami.

— Ach — to już wiesz, mistrzu, czyją on był własnością.

— Tak. Mrs. Ellen Dundę nosiła go kilkanaście razy.

Harry ze zdziwienia upadł na krzesło.

— Mrs. Dundę... Mrs. Dundę... nosiła ten kamień? W jaki sposób dostał się on do mieszkania Amerykanki?

— Na to pytanie szukałem również natychmiast odpowiedzi. Pojechałem do Hornsey, chcąc się dowiedzieć, czy Mrs. Dundę wychodziła z domu między godziną trzecią w nocy a dziesiątą rano

i stwierdziłem, że nie ruszyła się ani na krok z domu, co więcej, że dopiero popołudniu wstała z łóżka.

— Sprawa wikła się więc coraz bardziej.

— Nie zdaje mi się. Zresztą nie mamy czasu. Pałac lorda Chesbourn leży w Nevington. Mamy więc spory kawałek drogi przed sobą.

Z tymi słowy Szerlok Holmes podniósł się, wsadził rewolwer do kieszeni i wraz z Harrym opuścił mieszkanie. Większą część drogi jechali automobilem, żywą prowadząc rozmowę.

— Dziś przedpołudniem pobierałem rozmaite szczegóły odnoszące się do życia lorda Chesbourn — mówił Holmes. — Jego sposób życia pozostawiał wiele do życzenia. Ożeniwszy się przed dwoma laty, pozostał dalej takim samym hulaką i uwodzicielem, jakim był jako kawaler. Obawiano się zawsze, że padnie on wkiedy ofiarą czyjejś zemsty. Do południa — opowiadał dalej wielki detektyw — pracowałem gorliwie. W przeciągu godziny wyszukałem jubilera, który sprzedął dyament znaleziony u miss Fairhatter. W przeciągu drugiej godziny stwierdziłem, że Mrs. Dundę przez całą noc nie wychodziła z domu. Wreszcie ogłądałem zwłoki lorda Chesbourn. Ranę, która była śmiertelną, zadano mu narzędziem, które musiało mieć kształt półksiężyca, podobnem do sierpa. Inaczej nie mogą wytłómaczyć sobie tej rany idącej przez całą szyję.

Wreszcie automobil stanął. Szerlok Holmes i jego uczeń wysiedli i pieszo posuwali się dalej. Zatrzymali się wreszcie przed wielkim budynkiem. Szerlok Holmes obejrzał się na wszystkie strony, a nie zauważywszy nic podejrzanego, wyjął z kieszeni wytrych i wsadził go w zamek kraty, zamykającej wejście do parku, który otaczał cały dom. Furtka żelazna okazała się ku wielkiemu zdziwieniu detektywa otwartą.

— A to co? To dziwne — mruknął Szerlok Holmes, wchodząc do ogrodu. Ścieżka pogrążona była w cieniu. Korzystając z tej pomyślnej dla siebie okoliczności obaj detektywi bez szelestu pospieszyli ku głównej bramie pałacu. Szerlok Holmes otworzył ją bez trudu i znalazłszy schody, nie namyślając się, ruszył na pierwsze piętro. W kilkanaście sekund później obaj detektywi znaleźli się w zbytkownej i z przepychem umeblowanej komnacie.

Naprzeciw drzwi stało ogromne biurko, do którego Holmes skierował od razu swe kroki. Otwo-

rzywszy szufladę zapomocą swego specjalnego klucza, zaraz pogрузił się w czytaniu znalezionych tam listów. Cała komnata, z wyjątkiem biurka oświetlonego słabo ślepą latarką detektywa, pograżona była w mroku.

Harry stał w kącie. Nagle uszu jego doszedł cichy szmer, wychodzący z pod przeciwległej ściany. Harry wyteżył cały słuch. Po pokoju przesunął się jakiś cień — za chwilę dał się słyszeć krótki świst i brzęk szyby.

Sherlok Holmes zerwał się z krzesła i skierował światło latarni na ścianę, z pod której dochodził szmer. Pod ścianą stał jakiś mężczyzna, z łukiem w rękach, gotowym do strzału. (Patrz na rycinę). Mężczyzna ten wypuścił już jedną strzałę, która przeleciała tuż koło głowy Holmesa i uderzyła w szybę. Nieznajomy, ujrawszy się odkrytym, rzucił łuk na ziemię, a wyjął z kieszeni rewolwer i wziął na cel Holmesa. Detektyw widząc grożące niebezpieczeństwo, potężnym skokiem rzucił się na nieznajomego i podbił mu w górę rękę. Huknął strzał — kula ze świstem przeleciała ponad głową Sherlocka Holmesa. Nieznajomy uskoczył na bok i przeraźliwie gwizdnął. Harry, który biegł swemu mistrzowi na pomoc, uczył się nagle pochwyconym z tyłu i obalony runął wraz z przeciwnikiem na ziemię. Rozpoczęła się zacięta walka. Siły Harrego wyczerpały się wkrótce, tembardziej, że miał on do czynienia z dwoma napastnikami, którzy wypadli z bocznego pokoju. Wreszcie musiał uleść przemocy. Napastnicy związali go, okrecili mu głowę płachtą i wybiegli, niosąc jeńca na schody. Tu i w korytarzu napotkali na kilku służących lorda, zwabionych odgłosem walki. Bandyty zasypali osłupiałych gradem strzałów, powalając kilku na ziemię i znikli w ogrodzie. Tymczasem w pokoju toczyła się między Sherlockiem Holmesem a nieznajomym łucznikiem zacięta walka tem straszniejsza, że siły obu przeciwników były zupełnie równe, żaden z nich mimo wysiłków nie mógł zrobić użytku z broni, lecz tarzali się po podłodze obejmując potężnymi ramionami, każdy wysilając się na zdławienie przeciwnika.

Wreszcie udało się Sherlockowi Holmesowi swą żylastą dłonią schwycić przeciwnika za gardło. W tej chwili jednak rozległ się w ciszy nocnej przenikliwy, mrozący krew w żyłach krzyk. Krzyk zabrzmiał raz jeszcze, a za chwilę słyszeć już było tylko głuche przytłumione jęki. Krzyk ten wstrząsnął Sherlockiem Holmesem do głębi i po-

chłonał całą jego uwagę. Z tego zapomnienia skorzystał bandyta, nagłym ruchem wyrwał się z rąk detektywa i wyskoczył przez okno. Sherlock Holmes nie gonił go, lecz pobiegł natychmiast na drugie piętro, skąd pochodził ów przeraźliwy głos i jęk. Na schodach panowały znowu ciemności; Sherlock Holmes, potykając się na zwłokach służących, zastrzelonych przez bandytów, biegł szybko na górę i wpadł do komnaty, z której słyszeć było jęki. Była to sypialnia lady Chesbourn. Detektyw podniósł rękę, szukając guzika od lampy elektrycznej; w tej chwili huknął strzał i Sherlock Holmes uczył w ramieniu dotkliwy ból. Zdołał jednak mimo to odkręcić guzik, a światło elektryczne zalało cały pokój. Koło Sherlocka w tej chwili przemknęła jakaś szczelnie otulona postać i zbiegła na dół, zanim detektyw zdołał za nią wyciągnąć rękę.

Nad domem lorda Chesbourn'a zawisła jakaś straszna tajemnica. Na dwóch piętrach równocześnie, popełniono tu szereg okropnych zbrodni i to właśnie w czasie obecności Sherlocka Holmesa w pałacu. Wszyscy trzej bandyci uciekli. — Ale co się stało z Harrym? Myśli te błyskawicą przemknęły przez głowę Holmesa. Nagle do uszu jego dobiegło z oddali wołanie o pomoc. Był to głos Harrego. Sherlock Holmes w jednej chwili był w parku. Tu ujrzał biegnącą wzdłuż sztachet jakąś jasno okrytą postać; rzucił się ku niej i pochwycił za biały płaszcz. W tejże chwili jednak, gdy ręce Holmesa obejmowały już zbiega, podniósł się za jego plecami z trawy nowy bandyta i strasliwym uderzeniem kastetu w głowę powalił detektywa bez zmysłów na ziemię. Drab, wyjąwszy następnie nóż, chciał powalonej ofierze wepchać go w gardło. Nagle rozległy się przenikliwe gwizdki, a ogród zaroił się od konstablów, zwabionych strzałami i niezwykłym hałasem walki. Bandyta rzucił nóż i znikł w ciemnościach. Konstable natknęli się wkrótce na bezwładne ciało Holmesa, który w kurczowo zaciśniętej dłoni trzymał jeszcze biały strzęp.

ROZDZIAŁ III.

Godzina w dzielnicy India docks.

Sherlok Holmes siedział w swej pracowni z zawiązaną głową.

— No, najgorsze już przeminęło — rzekł sie-

dzący naprzeciw wielkiego detektywa inspektor Mc. Gordon, który od trzech tygodni codziennie tu przychodził, dowiadując się o zdrowie Holmesa.

— Czy jeszcze nie odkryto żadnego śladu Harrego? — zapytał detektyw.

Urzędnik potrząsnął głową.

— Niestety, mr. Holmes. Lord major poruszył cały Londyn, skoro dowiedział się, że pański ukończony uczeń wpadł w ręce rzeźmieszków, mimo to jednak nie udało się znaleźć najmniejszego śladu. Bandyci znikli tej samej nocy, jakby ich ziemia pochłonięła. Nie należy jednak tracić otuchy; gdy pan tylko, mr. Holmes, stanie na nogach to z pewnością znajdzie pan drogę do wyświetlenia tej zagadki.

— Kiedy zamierza pan znowu wyjść z domu?

— Najpóźniej w ciągu dni ośmiu — odparł Holmes, wspierając obwiązaną głowę na rękach.

Urzędnik pożegnał się i wyszedł.

Skoro tylko opuścił on mieszkanie, detektyw ubrał się pospiesznie. Szło mu to z pewną trudnością z powodu ciężkiej i bolesnej jeszcze rany na głowie, energia jednak zwyciężyła słabość cielesną.

Zupełnie ubrany zadzwonił na służącego. Ten zjawił się zaraz i w wyprężonej, wojskowej postawie stanął pod drzwiami.

— James, śniadanie!

Służący znikł i po pięciu minutach wrócił z tacą, na której znajdowała się filiżanka czekolady i kilka bułek. Postawił to na stole.

Holmes usiadł przy biurku i zdawał się coś pilnie pisać.

Nagle uśmiech okrzyknął usta detektywa.

James, który zatrzymał się w pokoju celem robienia porządków, niepostrzeżenie wyjął z szafy z lekarstwami jakąś flaszeczkę. Obrzuciwszy badawczym spojrzeniem Holmesa, wlał błyskawicznie kilka kropli do czekolady, a flaszeczkę postawił na swoim miejscu. Stanawszy następnie w wyprężonej postawie, zapytał pokornie:

— Czy wielmożny pan jeszcze co rozkaże?

Holmes odwrócił się i z uśmiechem mierzył służącego wzrokiem od stóp do głów.

— Dzięki ci James, możesz odejść.

Służący zniknął.

— Wcale to dobrze i sprytnie obmyślano — szeptał do siebie detektyw. — Wlał mi do czekolady sinku potasu.

Widział on wszystko, obserwując służącego

w lustrze. Wylał następnie czekoladę i udał się do kawiarni na gazety.

Potem pojechał do szefa londyńskiej policji.

Ten przyjął detektywa z otwartymi rękoma, ciesząc się powrotem jego do zdrowia.

— Czy nie za wiele pan dowierza sobie, odważając się już wychodzić?

— Jest to dla mnie wszystko jedno, panie dyrektorze, czy jestem w domu, czy na ulicy. I tam i tu znajduję się w równym niebezpieczeństwie.

— Możliwość dodać panu dla obrony kilku przebranych konstabli? Otrzymaliśmy tu szereg anonimowych listów z doniesieniem, iż na pańską osobę planowany jest wielki zamach.

Sherlok Holmes roześmiał się z humorem.

— Przybyłem tu w zupełnie innej sprawie — dodał. — Czy dyrektor nie otrzymał jakiej wiadomości o kradzieży brylantów, wartości około miliona?

— Nie, mr. Holmes, zupełnie o czymś podobnym nie słyszałem.

— Więc przypuszczenia me zgadzają się i jestem na właściwym tropie. Czy nie znajduje pan to co najmniej dziwnem, że w pewnym wykwintnym domu w Londynie popełniona zostaje kradzież brylantów nieocenionej wartości, a policja nie otrzymuje żadnego doniesienia o wypadku?

— Jest to rzeczywiście uderzające — rzekł dyrektor policji, żegnając detektywa.

Po powrocie do domu zagłębił się Sherlock Holmes w olbrzymich foliach wypełnionych setkami wycinków z gazet.

Około dziewiątej wieczór zjawił się James.

— Czy mam przygotować łóżko dla wielmożnego pana?

— Well, James, pośpiesz się!

Detektyw udał się do sypialni. Oglądnął małe okienko, które wychodziło do sypialni na wprost jego łóżka z przyległej komórki i zauważył, iż było tylko przymknięte. Przekonawszy się o tem, wydobył z kufra jakiś przedmiot i zgasił światło.

Minęła godzina. Ruch na ulicy osłabł zupełnie. Również i James zdawał się być już we śnie porażonym.

Nagle dał się słyszeć odgłos cichych kroków na korytarzu. Sherlock Holmes, który nadsłuchując siedział w kącie pokoju, podniósł głowę. Okienko w sypialni otworzył ktoś z zewnątrz bez szmeru i słaby odbłask światła wtargnął do sypialni. Równocześnie długa lufa strzelby pojawiła się w otwar-

tem okienku, a wylot jej skierował się na łóżko. Rozległ się huk strzału.

Na korytarzu dał się słyszeć znowu odgłos kroków. Szerlok Holmes otworzył bez szmeru drzwi i wyszedł z sypialni. Pokój, który zamieszkiwał James, był jasno oświetlony. Detektyw tutaj skierował swe „kroki”.

James właśnie odkładał broń na bok, gdy cień detektywa wpadł przez niedomknięte drzwi do pokoiku. Służący z okrzykiem trwogi cofnął się w tył.

— Mr. Holmes! To pan?

— Well! Ja to jestem! Nieźle zresztą trafiłeś, gdyż woskowa maska, którą podłożyłem ci na łóżko, została doszczętnie rozbita.

— Łaski, mr. Holmes! — zawołał James z jękiem, padając na kolana. Wszystko wyznam, tylko miłosierdzia! Nie zabijaj mnie pan!

Holmes z groźnym błyskiem gniewu w oczach, gniótł klęczącego przed sobą służalcę.

— Wyznaj łotrze, iż zostałeś najęty, by mnie uśmiercić i to przez tych, którzy za cel postawili sobie usunięcie ze świata Harrego i mnie.

Żądam bezwzględного zeznania! Pamiętaj, że jak nie zdołałeś mnie zamordować, tem mniej potrafisz mnie okłamać. Cały plan tych, w których służbie działasz, jest mi znany i przy pierwszym kłamstwie oddam cię w ręce policyi. Kara, jaka cię czeka za dwukrotny zamach morderczy, jest co najmniej dziesięć lat więzienia.

— A gdy wszystko zdradzę, czy mię pan puści wolno?

— To już będzie moją osobistą sprawą.

— Pytaj pan, mr. Holmes.

— Kto cię tutaj posłał?

— Rudy Bill. Jest on codziennym gościem w szynkowni pod „Białym koniem“ w Poplar.

— Tam mieszkają robotnicy doków — wtrącił Holmes. — Gdzie leży szynkownia pod „Białym koniem“? Nie słyszałem jeszcze o niej.

— Właściwie nosi ona nazwę pod „Zielonem drzewem“, jednak goście przebywający tam przechrzcieli ją. Leży ona w samym środku dzielnicy East Dock Road.

— A Rudy Bill, to główny gość tej knajpy? Czem on się trudni?

— Nie pytaj mię pan o to. mr. Holmes! Niegdyś pracował on w afrykańskich kopalniach.

Przez oblicze detektywa przemknęła jakby błyskawica.

— Aha! — mruknął do siebie. — To stąd ta znajomość! Czy wtajemniczono cię jeszcze w co więcej?

— Nie.

— Kłamiesz!

— Nie, mr. Holmes, mówię prawdę. Rudy Bill nie jest tak naiwnym, ani nie wdaje się wcale w pogawędkę z tymi, z których usług korzysta.

Neograniczona jego potęga znaną jest dobrze w całej dzielnicy zbrodniarzy.

Szerlok Holmes puścił rzezimieszka.

— Pójdiesz ze mną pod „Białego konia“ — rzekł.

Oblicze zbrodniarza skurczyło się z przerażenia.

— Nie żądam pan tego odemnie. Oni nas tam obydwóch zamordują. Pan lekceważysz tych ludzi.

— Cicho! — krzyknął groźnie Holmes. — Idziemy pod „Białego konia“, rozumiesz!

— Well, mr. Holmes.

Szerlok Holmes zamknął zbrodniarza w jego izdebce i poszedł do swej garderoby. Po chwili wyszedł z niej zmieniony do niepoznania. Tym razem przybrał postać żydowskiego handlarza, jakich zazwyczaj spotyka się tylko w najgorszych dzielnicach Londynu, w najpodlejszych knajpach. Wyjawszy rewolwer, wypuścił Jamesa z jego więzienia i rzekł: — Przy pierwszym słowie, które rembyś chciał mi zdradzić, zastrzelę cię jak psa. A teraz w drogę!

Gospoda pod „Białym koniem“ była to stara, upadła i obszarpana chałupa. Po wąskich, kamiennych schodach schodziło się do piwnicy, zwanej szumnie restauracją, w której zbierały się najgorsze szumowiny. Przy długim stole siedziało tu już siedmiu drabów, między którymi było trzech twardogłowych, tworzących główną klientelę Pata Bulwera, właściciela gospody.

Na końcu stołu siedział wysoki drab, odrażającej postaci, o twarzy porosłej rudym włosem. Był to Rudy Bill.

Szerlok Holmes pchnął stare spróchniałe drzwi, wszedł śmiało wraz z Jamesem do piwnicy. Rudy Bill obrzucił przybyłych, badawczem, groźnem spojrzeniem.

— Hola! chłopcy! krzyknął. — To Nick, znacie go przecież, siedział trzy lata w ulu.

— Hurra Nick! Niech żyje Nick! — rozległo się chrapliwe wycie drabów.

— Kogoś to przyprowadził nam, Nicku? — pytał Rudy Bill.

Holmes usiadł na ławie. — Nu — rzekł — chyba nie uważacie mię za łapacza lub szpicla.

— Kto to? spytał groźnie Rudy Bill, zwracając się do Jamesa, czyli Nicka. Holmes przysunął się szybko do swego towarzysza i szepnął: — Przy pierwszym zdradzieckim słowie zginiesz!

— Bądź spokojny, Bill — odparł zapytany. — To Izaak, stary szubrawiec; nie lubi on wchodzić w drogę niebieskim mundurom.

— Dobrze! Wystarczy! — krzyknął Rudy. — A teraz mów, jak ci poszła robota? Zabiłeś tego psa?

Nick spojrzał bojaźliwie na Holmesa, nie wiedząc co ma powiedzieć. Rudy Bill inaczej zrozumiał to spojrzenie. Przyskoczył do żyda i podsuwając mu potężną pięść pod nos, zawołał chrapliwym głosem:

— Ty psie! Jeśliś tu przybył, aby nas szpiegować, to żywy stąd nie wyjdiesz, pamiętaj o tem.

— Co mi grozisz? Dlaczego mam być szpiegiem? Chce tu zrobić jaki interes, zawołał żyd, usuwając się na bok i nadstawiając uszy.

Bill zwrócił się do Nicka: — Cóż więc zrobiłeś z tym psem?

Nick pobał: — już nie żyje — odparł.

Bill zatarł ręce gwałtownie i zawył dziko z radości.

— Chłopcy! zaryczał. — Niech żyje Nick: Hurra! Wysłał on do piekła najlepszego psa policyjnego, tego przeklętego Szerloka Holmesa.

W piwnicy podniosła się straszliwa wrzawa. Zaczne towarzystwo wyło z radości na całe gardło. Bandyci rzucali wszystkim, co im wpadło pod rękę.

— A ty żydzie, czemu nie wołasz — niech żyje Nick! Czy ci mam pomódz — wołał Bill.

— Nu, niech on żyje, czemu nie ma żyć? Niech żyje tak długo, jak Abraham. — To mówiąc wielki detektyw przysunął się do Billa i cicho zapytał:

— Nu, Bill, zrobimy interes?

— Nie mam żadnych interesów do roboty, stary żydzie.

Szerlok Holmes wyciągnął z kieszeni woreczek pełen złota, potrząsnął nim i wsadził nazad do kieszeni.

— Nu, jak chcesz, Bill. Myślałem, że masz jakie korale, lub inne kamienie. To trudno sprzedać, a stary Izaak kupuje wszystko, a zwłaszcza piękne kamyki.

— Mam coś, jeśli mię żydzie nie oszukasz, to zrobimy interes. — Rudy Bill wyjął z kieszeni garść brylantów, ogromnej wartości.

— Tych brylantów nie sprzedasz w całym Londynie — rzekł żyd. — Ja ci dam za nie 100 funtów.

Rozpoczął się targ, przerywany od czasu do czasu przez Billa, rozmaitymi obelgami, pod adresem żyda. Wreszcie porozumieli się. Za cztery brylanty wartości 800 funtów, zapłacił żyd 200 funtów. Bill wiedział, że brylanty te mają większą bez porównania wartość, ale wiedział również dobrze, że nie będzie ich mógł nigdzie sprzedać, bez zwrócenia na siebie uwagi policyi i bez narażenia się na aresztowanie. Szerlok Holmes wsadził brylanty do kieszeni. Cel, w jakim tu przybył, osiągnął. Tymczasem Bill przystąpił do jednego z drabów, pijącego w kącie wódkę.

— Nat, mam dla ciebie robotę — rzekł. — Widzisz tego żyda? Dał mi on 200 funtów, ale ma jeszcze przy sobie co najmniej trzysta. — Marynarz wyciągnął olbrzymie ręce i spojrzał na żyda, który liczył pod stołem pieniądze.

— Trzysta funtów, Bill? Mój nóż będzie w robocie.

— Ale półtora dla mnie, Nat.

— Dobrze, będziesz je miał, Billu.

Tymczasem Nick pił coraz bardziej i wychylał ze strachu jeden kielich za drugim. Oczy błyszczały mu fosforycznie, a wódka wróciła utraconą odwagę. Obudziła w nim się jakaś straszna wściekłość na Holmesa.

— Porachujemy się jeszcze Holmesie — mruknął przez zęby. W tej chwili zbliżył się doń Bill.

— Mam do ciebie interes, Nicku. Dande dał mi polecenie, które mi wcale nie sprawia przyjemności. Ty je wykonasz.

— Mów ciszej Bill — przerwał mu Nick — ten żyd wszystko słyszy.

Bill machnął ręką pogardliwie.

— Uważasz mię za głupca Nicku. Ten żyd niedługo już będzie chodził po świecie. Mówi ci to Rudy Bill. Ryby w Tamizie chcą także jeść.

Nick uspokoił się. Dzika radość rozpierała mu piersi. Wraz ze śmiercią żyda znikało niebezpieczeństwo, grożące mu ze strony towarzyszy, względem których dopuścił się zdrady.

— A więc dobrze, Bill! O co idzie? Dunde nie jest skąpy.

— Tak — odrzekł Bill i płacił pięćdziesiąt funtów za dobre pchnięcie nożem. Mnie taka robota już nie bawi. Mam już dosyć pieniędzy; po co mam się obarczać niepotrzebną robotą. Daję więc tobie

zarobek. Nie grozi ci przy tem najmniejsze niebezpieczeństwo. Ubiłeś starego, więc i młodego musisz wziąć na siebie. Wiesz o tem, że ten przeklęty Harry Takson, nieodstępny cień Szerloka Holmesa, wpadł nam w ręce w Nevington. Dundę schował go w swojej willi, ale obecnie chciałby się go już pozbyć. Jedno dobre pchnięcie nożem, a potem jazda z trupem do Tamizy. Pójdiesz zemną do Dundego, do którego mam jeszcze inny interes. Gdy ja będę Dundego „obrabiał“, ty pójdiesz do Taksona i poderżniesz mu gardło. Zgoda?

— Dobrze!

Rozmowa zbrodniarzy nie uszła bacznej uwagi detektywa, który w masce swej drżał z niepokojem o zagrożone życie drogiego ucznia.

Bill spozjrzał na zegarek.

— Do dyabła! Już druga godzina. Dundę będzie nas przeklinał, że tak długo każemy mu czekać. Dobranoc, chłopcy! Spotkamy się jutro w kawiarni, mrs. Salf w Whitechapel. Będzie lepiej, gdy zmienimy miejsce schadzek. Po tych słowach Rudy wraz z Nickiem wyszedł z knajpy.

Ledwo się drzwi za nimi zamknęły, podniósł się Szerlok Holmes i zapłaciwszy na pozór leniwie swój rachunek, wysunął się na ulicę. Za nim skradął się powoli olbrzymi Nat.

Szerlok Holmes nie namyślał się długo nad wyborem drogi. Jedno wiedział tylko, że musi z całych sił spieszyć, gdyż Harremu grozi niechybna śmierć. Obu zbrodniarzy nie było już nigdzie widać. Wyprzedzili go o pięć minut, chociaż się spieszył.

— Ten nędznik Nick, nie zawaha się ani na sekundę przed zbrodnią — rozmyślał Szerlok Holmes, nie słysząc odgłosu ciężkich kroków, jakie rozlegały się za nim.

Nagle na ramię Szerloka Holmesa spadła potężna dłoń, przed oczyma błysnął mu nóż. Każdy inny byłby już zgubiony bez ratunku, lecz Nat ani przeczuwał, jakiego groźnego przeciwnika ma przed sobą. Szerlok Holmes natychmiast też zorientował się w sytuacji i uczuwszy uderzenie w ramię, obrócił się z szybkością błyskawicy. Jedną ręką pochwycił dłoń napastnika, dzierżącą nóż, a drugą wymierzył mu tak silny cios w okolicę żołądka, że zbrodniarz z głuchym przekleństwem padł na ziemię.

Krótką tą walką rozegrała się nad samym brzegiem Tamizy.

Szerlok Holmes myślał tylko o ratunku Har-

rego. Te kilka minut, które tu stracił, wydawały mu się wiekiem i wystarczały, aby przyjść za późno.

Po raz pierwszy w swem życiu rzucił się wielki detektyw do ucieczki, aby nie tracić już więcej ani sekundy drogiego czasu. Tymczasem Nat podniósł się z ziemi; szalona wściekłość i wstyd podwajały jego siły. Jednym skokiem dognał Holmesa. Detektyw musiał znowu przyjąć walkę. Oczy jego ciskały teraz błyskawice. Mimo, że Nat był istnym olbrzymem, nie cofnął się. Był on znakomicie wyćwiczony we wszelkiego rodzaju walkach i znany był jako świetny bokser.

Myśl, że każda minuta przyspieszy śmierć Harrego, dodawała mu sił. Zaciśnięta jego pięść spadła kilka razy ze straszną siłą na twarz Nata. W następnej jednak chwili otrzymał sam potężny cios w głowę. To go na sekundę ubezwładniło. Skorzystał z tego zbrodniarz i objął wpół Szerloka Holmesa. Detektyw jednak, zebrawszy wszystkie siły, kopnął go w brzuch tak silnie, że zbrodniarz potoczył się w tył. Szerlok Holmes w gniewie oka ścisnął bandytę za gardło, dławiąc go z całej siły. Zbrodniarz z głuchym jękiem padł na kolana. Detektyw rzucił się na niego — — — w tej chwili jednak obaj przeciwnicy stracili równowagę i grunt pod nogami i spadli w śmiertelnym uścisku do rzeki. Brudne fale Tamizy pochłonięły obu.

ROZDZIAŁ IV.

Wstrząsająca katastrofa.

Willa Toma Dundę, dyamentowego króla, spoczywała już cicho w objęciach nocy. Jedyne światło płonęło w jednym z pokoi pierwszego piętra, jak ogniste oko, spoglądając w ciemną dal.

W pokoju tym siedział Tom Dundę i wsparłszy głowę na rękach, wpatrzył się w leżący przed nim papier, pokryty mnóstwem cyfr.

Nagle zadrżał. Wyraźnie i donośnie zabrzmiały wśród nocnej ciszy trzy, krótkie, odmierzone uderzenia do bramy. Milioner podniósł stojącą na podłodze latarnię i po schodach udał się na dół do małej tylnej furtki, wychodzącej na ogród. Ostrożnie otworzył ją.

Dwaj mężczyźni stali na dworze.

— Jesteśmy Tomie — rzekł rudy Bill i posunął naprzód towarzysza.

Tom Dunde oświecił każdego z osobna twarz latarką i zapytał:

— Kogo przywiodłeś z sobą Billu?

— Bądź spokojny Tomie! To zupełnie pewny człowiek.

Milioner w milczeniu poprowadził obu przybyłych do swej pracowni.

Rudy Bill siadł tu zaraz bez ceremonii na krzesło i rzekł:

— Możemy spokojnie odetchnąć, Tomie, wreszcie wzięli dyabli przekłętego Szerloka Holmesa. Byłbym przysiągł, że po ciosie mym w ogrodzie lorda Cheshourn'a więcej się już nie podniesie. Szelma ma widać jednak głowę jak z żelaza.

— Czyś zupełnie pewnym Billu, że Szerlok Holmes już nie żyje? — pytał natarczywie Tom Dunde. — Czyż nie mamy się już niczego z jego strony obawiać? Oby tylko nie wynurzył się znowu nagle z ukrycia. Wszak wiesz, iż wobec tego szpicla należy być przygotowanym na najnieprawdopodobniejsze niespodzianki.

Niek wystąpił naprzód i rzekł z patosem:

— Może pan być spokojnym, mr. Dunde. Ja to sam zastrzeliłem go w nocy na łóżku.

Tom Dunde porwał się na wiadomość o tem z krzesła i począł szybkim krokiem chodzić po pokoju.

— Wobec tego wszystko dobrze się składa i nie potrzebujemy dłużej zwlekać z chłopcem, którego dość już długo przechowuję. Ty Billu załatwisz się z nim?

— Ja nie, Tomie. Mój towarzysz już to za mnie zrobi. Wypląć jemu pieniądze.

— Wolałbym stanowczo, byś ty sprawę tę załatwił! — odparł Dunde.

— Ale mnie się nie podoba! — ryknął śmiało Bill, będąc pijanym.

Tom Dunde zatkał mu usta ręką z przerażeniem.

— Zamłecz Billu, a przynajmniej nie alarmuj domu i służby twym krzykiem.

— Co mię obchodzi twoja służba? — krzyczał Bill. — Najpierw zapłać, coś mi winien. Wszak wiesz, coś mi przyrzekł za ostatnią usługę.

Tom Dunde zacisnął pięści i zgrzytał zębami z wściekłości, patrząc na współnika.

— Nie możesz już zaczekać, a wogóle, jak śmiesz stawiać mi tak natarczywe żądania. Mam ja z tobą mały porachunek, Billu. Nie uważasz mię chyba za takiego głupca, abym nie poznał, że

kradzież brylantów mej żony to twoja sprawa? Nie wzdragasz się już nawet okradać najlepszego przyjaciela? Żądam, abys natychmiast oddał mi moje mienie.

Rudy Bill podniósł się z krzesła i huknął w nie potężnymi pięściami.

— Zwaryowałeś Tomie, gdy żądasz, abym ci zwracał owoce mej pracy. Czyż miałem mieć jakiegokolwiek skrupuły, czyniąc bogatego, dyamentowego króla uboższym o marne kilka tysięcy funtów? Łatwo potrafisz to sobie powetować.

— Niestety, mylisz się. Czyż nie mówiłem ci, iż od dawna nie jestem już wcale tak bogatym, za jakiego świat mię uważa? Oddaj mi moją własność, bo w przeciwnym razie dotkliwie odpokutujesz twój czyn.

Rudy Bill cofnął się krok wstecz, a oczy jego zabłysły złowrogo.

— Oho! Ośmielasz się grozić mi? Mylisz się grubo, jeśli tym tonem spodziewasz się ze mną coś wskórać! Zrobie, jak mi będzie dogodniej!

— A ja wydam cię władzom, rabusiu! — krzyknął Tom Dunde z wściekłością, wychodząc z równowagi.

Rudy Bill, równie uniesiony zbladł, nie z obawy przed groźbą, lecz z gniewu.

— Ty grozisz mi policją? O, proszę, nie krępuj się! Bardzo jestem jednak ciekawy, co policja powie, gdy opowiem kilka pięknych epizodów, których ty jesteś bohaterem.

— Jesteś głupcem! Nikomu nie przyjdzie do głowy zważać na oskarżenie jakiegoś szubienicznika. Nie prędko poważy się ktoś zacząć Toma Dunde!

— Sam nie wierzysz w to, co mówisz! Najpierw opowiem policji, jak to przyszedłeś do majątku. Czy już zapomniałeś, że dziś jeszcze, choć to już temu dwadzieścia lat, nie ustaje śledztwo i badania, gdzie zaginał Jim Vanderbilt, Amerykanin, który zajmował kopalnię Nr. 17 w okolicy Pretoryi? Mam opowiedzieć, jak się to stało, że on zniknął, a ty nagle znalazłeś dyamenty wielkości łaskowego orzecha? O, dobrze zapamiętałem ja sobie miejsce, gdzieś go zakopał, gdyś mię na tem zaskoczył. Od tego czasu przecież datuje się nasza przyjaźń i obopólne usługi, nieprawdaż Tomie?

Dunde opadł na krzesło i blade oblicze wsparł na rękach. Oczy jego błyszczały ponurym ogniem, gdy rozmyślając spojrzały ukradkiem na Billa.

Wkońcu twarz jego znowu przybrała zwykły wyraz. Nie podnosząc oczu podał rękę współnikowi.

— Zapomnijmy o tem, to już się nie da zmienić. Trudno jednak z tobą przyjść do zgody. Pomówmy lepiej zgodnie o ostatniej sprawie. Chodź do sąsiedniego pokoju, co będę miał gotówki, to ci dam.

Rudy Bill schował ręce do kieszeni i rzucił Nickowi tryumfujące spojrzenie. Następnie przeszedł do przyległego pokoju.

Tom Dunde zatrzymał się chwilę i wręczył Nickowi duży klucz.

— Spiesz po schodach do piwnicy. Ten klucz jest od drzwi stamtąd. Zatrzaśnij silnie drzwi za sobą, aby ci nikt nie przeszkodził lub nie podsłuchał. W dziesięciu minutach młokos, który tam leży związany, musi być trupem. Jutro zgłoś się do mego biura, a wynagrodzę cię po królewsku.

Nick wziął klucz i z pośpiechem udał się do piwnicy. Gnała go tutaj nie tylko żądza mordu, lecz niemniej uważał zamordowanie ucznia Szerloka Holmesa za akt zemsty na samym mistrzu.

— Popamiętasz twego służącego, Holmesie — myślał — nie było to z twojej strony roztropnie budzić jeszcze jednego śmiertelnego wroga, gdy już setki innych stoją ci na zdradzie.

Tak mrucząc do siebie, otworzył drzwi piwnicy i pomny na uwagi Dunde'go, zatrzasnął je silnie za sobą.

Na wilgotnej ziemi piwnicy leżał Harry Takson skrępowany na rękach i nogach.

Nick oświecił zapadłe, wskutek długiego więzienia, lica Harrego i zaśmiał się szyderczo.

— No, Harry Takson, jak ci się tu podoba? Znasz ty mię? O do stu dyabłów, zapomniałem ci się przedstawić. Jestem Nick. Wyjął następnie szeroki nóż z bocznej kieszeni i przybliżył go do twarzy Harrego, który przerażonymi oczyma spoglądał na zbrodniarza.

— Niejedną już zwierzyne tym sztylecikiem obróbiłem, a wszystkie zwierzęta mają ten sam wyraz trwogi w oczach w obliczu śmierci. I ty tak samo wyglądasz.

Powiodł palcem po gardle związanego i rzekł:

— Tutaj musi nóż wejść, aby cię w mgnieniu oka uśmiercić. Przyznaj, że jestem przyzwoity i grzeczny dla ciebie i nie znęcam się nad tobą. Jednak czas umyka, a nie można wiedzieć, co się stać jeszcze może. Najwyżej mogę ci użyczyć minutę zwłoki, abys mógł jeszcze ofiarować swą du-

szę dyabłu. — Tu zaryczał złoczyńca śmiechem nad własnym dowcipem, a głos jego drgał dziko, odbrzmiwając wielokrotnem echem w głębiach sklepień. Harry Takson nie rzekł ani słowa, lecz ponowił usiłowania, jak to już czynił codziennie, aby zerwać krępujące go więzy. Prózne jednak były wysiłki młodzieńca. Więzy wpiły się tylko głębiej w ciało, wywołując straszne bóle. Był zupełnie bezbronny i wydany na łup dziczającego potwora.

Ten, trzymając zegarek, liczył na głos sekundy.

Nasycając się widokiem śmiertelnej trwogi ofiary, zdawało się sprawiać zbrodniarzowi wielką przyjemność.

— No, już czas — rzekł — minuta upłynęła. Z temi słowy schwycił Harrego za gęste włosy, przycisnął mu głowę do ziemi i podniósł nóż, aby go z wściekłością spuścić na gardło młodzieńca.

Jednak zanim mordercze narzędzie osiągnęło swój cel, huknął strzał, odbijając się głośnie echem w piwnicach.

Sekunda później — a Harry byłby już nie żył.

Zbrodniarz zawył dziko z bólu i runął w tył. Gorący strumień krwi oblał twarz Harrego, który stężale trwogą śmierci spojrzenie skierował na małe okienko piwnicy, gdzie równocześnie ze strzałem pojawił się błysk.

W wąskich kratkach wynurzyło się blade oblicze wielkiego detektywa. Przycisnął on twarz do krat — w tym samym jednak momencie znowu zniknął. Złoczyńca porwał lewą ręką latarnię i chwiejąc się na nogach, rzucił się do wyjścia. Krew tryskała mu z przestrzelonej ręki strumieniem.

Drząc włożył klucz do ciężkich żelaznych drzwi, z okrzykiem wściekłości odskoczył jednak od nich i wyczerpany osunął się pod murem. Zamek nie odmykał się z wewnątrz. Teraz pojął dopiero, dlaczego Tom Dunde polecił mu drzwi za sobą zatrzasnąć. Oto postanowił go samego uwięzić, skoro mord na Harrym będzie dokonany. Jeszcze raz ponawiał Nick usiłowania otwarcia drzwi, jednak na próżno. Czarny jak sadza dym wtargnął nagle do piwnicy. Wdzierał on się po pod drzwiami i z każdą chwilą wypełniał coraz silniej piwnicę.

Na dworze i w domu ożywiło się. Ludzie przebiegali z jednej strony na drugą, rozbrzmiewały dzikie i pełne trwogi okrzyki:

— Gore! Pali się!

Nick słyszał te okrzyki, lecz wyczerpany upływem krwi upadł bez zmysłów na zbroczone krwią schody, tracąc przytomność.

Sherlok Holmes przybył już w ostatniej chwili a jednak na czas, by przeszkodzić podłemu morderstwu. W chwili, gdy stoczył się z Natem do Tamizy, wywiązała się w falach rzeki ponowna walka na śmierć i życie. Wielki detektyw będąc znakomitym pływakiem, zdołał wkońcu pogrążyć bandytę w nurtach rzeki. Uwolniwszy się z zdrętwiałych objęć trupa, mokry na wskrós i śmiertelnie znużony, pospieszył Holmes na najbliższy posterunek policyjny, a zaopatrzwszy się tutaj w doskonały rewolwer, wskoczył do samochodu i w szalonym pędzie pognął do Hornsey. Inspektor Stafford zastępujący chorego Mc. Gordona i kilkunastu konstabli gnało w ślad za detektywem na rowerach.

Po przybyciu do willi Toma Dundee, Holmes natychmiast skierował uwagę swą na piwnice, słusznie podejrzewając, iż tu musi znajdować się więzienie jego ucznia.

Przyłożywszy ucho do muru, usłyszał głos swego dawnego służącego, a gdy spojrzął przez okienko do piwnicy, ujrzał jak Nick z podniesionym nożem gotował się do śmiertelnego ciosu.

Sekunda zaledwie pozostawała detektywowi na celowanie — a jednak strzał nie zawiódł i Harry w ostatniej chwili był uratowany.

Detektyw, widząc, że po strzale Nick nie jest już zdolnym do ponownego napadu na Harrego, wskoczył przez jedno z okien do wnętrza willi. Przy blasku swej ślepej latarki przebiegał się naprzód, gdy uderzyły go kłęby dymu i okrzyki: „Gore“. Podejrzewając w tem nową zbrodnię, rzucił się Holmes do piwnicy. W kilku skokach stanął przed żelaznymi drzwiami, te jednak były zamknięte. O otwarciu siłą nie mógł detektyw ani marzyć. Rzucił się tedy z powrotem na górę w nadziei, że zdoła przyjąć w posiadanie klucza od tej zapory. Na pierwszym piętrze zastąpiło mu drogę dwóch olbrzymich Negrów w liberyi Dundee'go.

— Przeklęty psie — zaryczał jeden — tyś ogień podłożył! Gdzie jest nasz pan?

Sherlok Holmes nie wdawał się jednak w żadne pertraktacje. Nie zatrzymując się w biegu potężnym ciosem obalił zastępującego mu drogę olbrzymia i wpadł do pracowni króla dyamentowego.

Obalony Neger podniósł się tymczasem i z towarzyszem poskoczyli obaj za detektywem. Kula świsnęła Holmesowi koło ucha. Szybko obrócił się i stojącemu już koło siebie Negrowi wymierzył tak straszny cios pięścią między oczy, iż ten runął bez zmysłów na ziemię. Drugi Neger wymierzył do detektywa rewolwer, ten jednak z błyskawiczną szybkością dobył brauning i jedynym strzałem położył napastnika trupem.

Strzały wzmogły jeszcze zamieszanie, podczas gdy ogień objął już pożogą drugie piętro. Z gorączkowym pośpiechem przeszukiwał detektyw biurko dyamentowego króla. Rozczarowany rzucił się do przyległego pokoju, skąd wydobywał się ostry swąd i dym. Wtem potknął się na jakimś ciecie. Z przebitą na wskrós szyją leżał na dywanie rudy Bill. Szeroka kałuża krwi rozlewała się po podłodze.

Oglądając pobieżnie zwłoki zauważył Holmes, iż rana zadana była z tyłu i to w chwili, gdy Bill pochylił się nad stołem, widocznie licząc pieniądze, które były tam jeszcze rozsypane.

Wielki detektyw wybiegł z pokójów, aby wreszcie znaleźć sprawcę i inicjatora tylu strasznych zbrodni. Tom Dundee zniknął jednak bez śladu, a coraz gęstsze chmury dymu przypominały żywo detektywowi, iż ratunek Harrego nie jest jeszcze dokonany. Dusząc się od czadu i dymu, wychylił detektyw głowę przez okno, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Cały ogród willi kapał się w blaskach płonącego domu. W świetle tem spostrzegł Holmes jak przez ogród umykała z szalonym pośpiechem jakaś postać biała, podobna zupełnie do tej, którą ścigał przed trzema tygodniami w ogrodzie lorda Chesbourn. W tej samej chwili wtargnęli ze wszystkich stron konstable z inspektorem Staffordem na czele. Sherlock Holmes, pragnąc zwrócić uwagę konstabli na uciekającą postać, strzelił w jej kierunku z rewolweru. Inspektor Stafford sam już również zauważył uchodzącą i w jednej chwili została otoczona i pojmana. Tymczasem przybyła na miejsce straż ogniowa z Hornsey i rozpoczęła akcję ratunkową. Z Londynu równocześnie dążyły do pożaru trzy olbrzymie automobile straży pożarnej.

Wszystkie te wypadki w czasie pożaru nie trwały dłużej, jak zaledwie kilka minut. Sherlock Holmes spieszył teraz na ratunek Harrego, aby uwolnić go czempredziej z więzienia. Cały westybul domu był już tak gęsto dymem wypełniony, iż

przebiegający tędy we wszystkich kierunkach ludzie, byli prawie zupełnie niewidoczni i przemylali jak cienie.

W połowie drogi natknął detektyw na inspektora Stafforda, który z konstablami wtargnął już do wnętrza domu.

— Nazad do piwnic! — zagrzmiął głos wielkiego detektywa. — Harry Takson tam się znajduje — wołał. — Najsilniejsi konstable niech spieszą za mną! Czy nie ma kto przypadkiem dynamitu lub nitrogliceryny przy sobie?

— Nie było czasu o tem myśleć, mr. Holmes — odparł Stafford, krztusząc się ustawicznie z gryzących kłębow dymu.

Trzech olbrzymich policyantów wraz z Staffordem pospieszyło za detektywem do piwnicy i dotarli do żelaznych drzwi. Nadludzkie wysiłki, ponawiane z wściekłością przez Holmesa i konstabli, aby drzwi wyłamać, pozostały bez skutku.

Szerlok Holmes dobył brauninga.

— Dobyc rewolwery, chłopcy! Kilkadziesiąt strzałów w zamek, a zobaczymy, czy się długo oprze. Ognia!

Rozpoczęła się szalona kanonada, wypełniająca głębię piwnicy piekielnym łoskotem. Strzały osiągnęły jednak swój skutek. Gdy po chwili Holmes rzucił się całą siłą na drzwi, te zachwiały się i otwały, a zamek z dźwiękiem spadł na ziemię. Wielki detektyw rzucił się po stromych schodach do piwnicy, nie zważając na otaczające go płomienie i dym.

Harry doznał zaledwie kilku nieznaczących spazmów, gdyż skoro tylko płomienie objęły piwnicę, potoczył się w najbezpieczniej osłonięty kąt. Tu każdej chwili oczekiwał zjawienia się swego wybawcy.

— Mr. Holmes, tu leży jakiś człowiek! — zawołał inspektor Stafford, potknąwszy się na trupie leżącym przy schodach.

Detektyw nie odrzekł nic, zajęty zupełnie rozcinaniem więzów, kępujących ciało jego ucznia.

Harry nie był jednak w stanie postąpić ani kroku. Bez namysłu wziął go Szerlok Holmes na ramiona i skierował się na schody. Tu leżał martwy mężczyzna ze spalonym ubraniem, brocząc jeszcze krwią z rany na ręce.

— To Nick, mój sługa — skinął Holmes. — Poznaję go pan, mr. Stafford?

Ten pochylił się nad ciałem.

— A to ciekawe, mr. Holmes. Skądże się wziął

ten łotr tutaj? Ale kto mu tak dogodził? Kula przeszła wprost przez tętnicę.

— Ukaralem zbrodniczą rękę, która trzykrotnie godziła na życie ludzkie — odparł krótko detektyw i podążył na górę.

Dłuższe pozostawanie w płonącym domu było już niemożliwe. Z hukiem poczęły się walić pietra sklepienia i schody, wyrzucając chmury dymu i płomieni w górę. Ludzie z rozpalonemi twarzami spieszyli na dwór.

Tymczasem poczęło świtać i powoli weszło na horyzont słońce, oświetlając ponure ruiny i zgłiszczając willi milionera.

W małym pawilonie w parku trzech konstable strzegli młodą i piękną kobietę. Jakkolwiek trupia bladeść okrywała jej lica, nie straciła ani na chwilę panowania nad sobą i zimnej krwi, a zbliżającego się do pawilonu Holmesa powitała czarnym uśmiechem, jakiemu dotąd żaden mężczyzna nie zdołał się oprzeć.

Wielki detektyw był jednakże dobrze opancerzony przeciw niebezpiecznym pociskom, jakie oczy kobiety rzucały.

— Konstable mówili mi, iż z pańskiego polecenia zostałam aresztowaną — rzekła z czułym uśmiechem na ustach. — To musi być jedynie pomyłka! Tylekroć miałam przecież przyjemność, mr. Holmes, spotykać pana w towarzystwie i sądzę, że nie będziesz pan na tyle niedelikatnym, dłużej jeszcze skazywać niewinną kobietę na dotkliwy chłód poranku.

— Jak na okoliczność, żeś pani w nocy musiała ratować się z płonącego domu — to widzę, że strój pani jest za bardzo staranny, mrs. Dundee — odparł Holmes, wpijając w jej oblicze tak przenikliwe spojrzenie, iż pod wpływem tego wzroku spuściła oczy ku ziemi.

— Zdaje mi się — ciągnął detektyw dalej — że pani byłaś już z toaletą swą dawno gotową, zanim ktokolwiek pożar spostrzegł. Wnoszę z tego, że mąż musiał panią na czas ostrzedz, zanim ogień podłożył.

— Wzdrygnęła się, a wargi jej o jeden jeszcze cień więcej zbladły. Chwilę milczała, a następnie załamała ręce.

— Co pan mówi, mr. Holmes? Czyż to możliwe? Pan obwinia męża mego o podpalenie? Od wczorajszego wieczoru nie widziałam go na oczy. O! ratuj go pan, może być, że już spoczywa pogrzebany gruzami zawalonego domu.

Sherlok Holmes zwrócił się do konstablów:

— Przynieście stółek dla tej damy — rzekł zimno. — Postanowiła ona, jak widzę, odegrać przed nami komedię i przesłuchanie przeciągnie się nieco dłużej, niż przypuszczałem.

Jeden z konstablów podał krzesło oniemiałej kobiecie, a ta drżąc, usiadła na nim.

— Nosi pani piękny jedwabny płaszcz, miss Dundee — ciągnął detektyw dalej, skrzyżowawszy ręce na piersiach. — Płaszcz ten miałaś pani już raz w podobnych okolicznościach na sobie.

— Rzeczywiście, płaszcz ten nosiłam częściej, nie wiem jednak na razie, jakie to okoliczności ma pan na myśli — szeptała drżącym głosem.

— Poznaje pani ten kawałek jedwabiu? — zawołał detektyw, wyciągając z kieszeni strzęp, z tej samej co płaszcz materii. — Przyzna pani, że przed trzema tygodniami byłaś potajemnie w willi lorda Chesbourn'a? Że wtargnęłaś wówczas do sypialni lady Chesbourn i uśmierciłaś nieszczęsną, podrzuciwszy do jej łóża węży.

Każde słowo Holmesa było dla kobiety tej druzgoczącem. Coraz więcej słała się na krzesło. Parę razy próbowała protestować, to znowu wyniosłe potrzasała głową, lecz wobec zimnego i przenikliwego wzroku, jakim wielki detektyw przykuł ją na miejscu, niezdolną była do oporu.

Zakryła twarz rękoma i wybuchła spazmatycznym płaczem.

Wtem rozległ się straszny huk — słup ognia buchnął prostopadłe ku niebu, a wkrótce osłoniły go nieprzebite chmury dymu i pary.

Willi runęła w gruzy.

Mrs. Dundee rzuciła ukradkowe spojrzenie na ginący w ruinach dom.

Czyżby czuła, że z chwilą tą równocześnie i jej towarzyskie stanowisko zostaje zniweczonym?

— Chciałbym pani oszczędzić przykrych dochodzeń ze strony sędziego śledczego, mrs. Dundee — mówił Holmes dalej. — Tylko ułatwiając nam pracę, może pani sobie pomóc. Przyznaj się pani więc do czynu, który właśnie został pani niezbitnie udowodniony.

Raz jeszcze odważyła się spróbować siły uwoździeliskiej i potęgi swej piękności na osobie detektawy.

Wszystko jednak było daremne. Holmes wydawał się być stworzonym ze stali i żelaza.

— Śmiertelnie nienawidziłam ją — wyszeptwała w końcu, złamana siłą spojrzenia wielkiego

detektawy. — Nienawidziłam jej do szaleństwa! Ona to zabrała mi mężczyznę,* jedyne, którego w życiu kochałam.

— Mężczyzną tym był lord Chesbourn, nieprawdaż, mrs. Dundee?

— Tak!

— Nienawidziłaś pani lady Chesbourn, ponieważ była jego żoną?

— Tak jest. Życzyłam jej tysiącrotnie śmierci!

— Utrzymywałaś pani z lordem Chesbourn stosunki jeszcze przed swem zamążpójściem, a stosunki te trwały również i w dalszym ciągu, gdyś pani już była żoną mr. Dundego, nieprawdaż?

Fala krwi zalała jej oblicze i z wahaniem spojrzała na otaczających ją konstabli.

— Już zapóźno na wstyd, mrs. Dundee — wyrzekł Holmes twardo. — Nie wahałaś się pani przywieść do zguby niedoświadczonego, młodego człowieka i zniszczyć mu karierę i przyszłość. Nie cofnęłaś się nawet przed okrutnem morderstwem biednej, pięknej kobiety. — Straszne namiętności kierowały tobą całe życie i nigdy nie starałaś się im oprzeć. Przyznaje więc pani, że zabiłaś lady Chesbourn, z zazdrości o lorda Chesbourn, jej męża?

— Przyznaję — szepnęła ledwie dosłyszalnym głosem.

— Mr. Fairhatter, attaché amerykańskiej ambasady, został pod zarzutem zbrodni morderstwa w domu pani uwięzionym. Godzinę przedtem był on gościem pani. Dokładne śledztwo i badania korespondencyi pożałowania godnego młodzieńca, wskazały mi, iż był on w ręku pani zabawką.

Mr. Fairhatter mniemał, iż w pani znalazł ideał swoich marzeń. Był tak nadto zaślepiony, że po owej zabawie wrócił raz jeszcze do willi, aby się stawić na schadzke z panią. Jedno słowo z ust pani byłoby wyświeśliło niewątpliwie przyczynę jego pobytu w jej mieszkaniu. Pani wydałaś go jednak bez skrępowań w ręce konstablów, a on był za szlachetny, by kosztem jej czci bronić siebie. Wolał raczej dać się uwięzić pod zarzutem morderstwa, niż odsłonić przewrotność zepsutej do gruntu kobiety.

Wybuchła ponownie płaczem, usiłując wywołać przynajmniej współczucie, gdy widziała, że postęпки jej są już odkryte.

— To prawda — wyjąkała — lecz ja nie kochałam go... nie mogłam go kochać.

— Mimo to, pochlebiało próżności pani, wo-

dzić za nos biednego młodzieńca i zrobić zeń swego niewolnika. Nic nie uczyniłaś, aby go ratować i dozwoliłaś, że mąż twój nową zbrodnią usiłował zapewnić sobie bezkarność.

Gdy Szerlok Holmes wspomniał o mężu, porwała się z miejsca, jakby pod jadowitem ukąszeniem taranteli.

— Nie wiem nic, co mój mąż popełnił — zawołała porywczo — odpieram stanowczo wszelkie zarzuty, jakobym brała współudział w czemkolwiek, o co mąż mój jest obwiniony, przysięgam, że — —

— Traci pani niepotrzebnie czas na błahe słowa — przerwał jej Holmes. — Zbytnią gorliwość zdradza panią wymownie. Nie pytałem się jeszcze wcale, czy pani wie co o zbrodniach swego męża.

Z tymi słowy, odwracając się, przystąpił do Harrego Taksona, który opodał skulony na ziemi, przysłuchiwał się całemu przesłuchaniu. Było mu już teraz o tyle lepiej, że mógł dojść do automobilu, którym wraz z Holmesem podążyli do domu.

Inspektor Stafford dotknął ramienia mr. Dundę i rzekł:

— Na podstawie jej własnych zeznań, w imieniu prawa aresztuję panią, mrs. Dundę.

Dopiero teraz przewrotna kobieta zdawała się odzyskiwać równowagę. Wyprostowana dumnie, dzikiem spojrzeniem obrzuciła otaczających dookoła.

— Kto mówi tutaj o zeznaniach? Ja nie nie wyznałam! Nie mam zamiaru czynić żadnych zeznań! Nie wiem, czego pan chce odemnie.

— Powie to pani sędzia śledczy, a wytlómaczą przysięgli — odparł inspektor Stafford. — Konstabile, wsadzić uwięzioną do powozu. Będzie natychmiast odstawioną do centralnego więzienia.

ROZDZIAŁ V.

Mordownia w Stamford-Hill.

— Przyniosłeś mi pan sznurowadło do gorsetu? — rzekł Szerlok Holmes do inspektora Stafforda, siedząc na kanapie w swoim mieszkaniu.

— Well, mr. Holmes — odrzekł inspektor i zwrócił się do Harrego Taksona.

— A pan już przyszedłeś do siebie po tej trzytygodniowej niewoli?

— W zupełności, mr. Stafford.

Tymczasem Szerlok Holmes porównywał sznurowadło przyniesione przez inspektora z innym, które wyjął z biurka.

— Doskonale — mruknął.

— Do dyabła — zawołał inspektor — oba te sznurowadła podobne są do siebie, jak dwie krople wody. Jeśli się nie mylę, jestto sznurek, którym uduszono biedną miss Fairhatter?

Szerlok Holmes skinął twierdząco głową.

— Czy i ty mistrzu uważasz mrs. Dundę za morderczynię miss Fairhatter?

Detektyw zaprzeczył.

— W takim razie nie rozumiem znaczenia tego sznurka, mr. Holmes — dodał inspektor. — Mrs. Dundę odwołała swoje zeznania; sędzia śledczy zupełnie już stracił głowę.

— Wyjaśnię to panu trochę. Udział attaché w tej sprawie jest już dosyć jasny, inaczej prokurator nie byłby go wypuścił na wolność. Pozwólcie, że cofnę się trochę wstecz. Zawezwano mnie do zwłok miss Fairhatter; została ona uduszoną jedwabnym sznurkiem; na kołdrze, jak wam wiadomo, znalazłem krwawe plamy. Brylant, znaleziony w kołdrze, był dla mnie najważniejszą wskazówką. Łatwo stwierdziłem, że był on własnością mrs. Dundę, ku tej więc kobiecie, której przeszłość była niezbyt czystą, skierowałem z początku moje podejrzenia. Jednak mrs. Dundę nie wychodziła owej nocy wcale z domu. Jubiler zaś, który sprzedał jej znaleziony przezemnie brylant, oświadczył, że był on tak silnie oprawiony, że nie mógł wypaść. Musiano go więc wyłupać.

Z tego wynioskowałem, że morderca miss Fairhatter ukradł poprzednio ten dyament z mieszkania mrs. Dundę. Prawdopodobnie ukradł on więcej klejnotów; ten zaś dyament wyleciał mu w chwili, gdy mordował nieszczęśliwą miss Fairhatter.

Mrs. Dundę, ani jej mąż nie zawiadomili policji o tej kradzieży, dokonanej w ich domu. To nie było bez przyczyny. Tom Dundę musiał znać złodzieja, ale miał w tem jakiś powód, że nie wydał go policji. Ponieważ uważałem Dundęgo za zdolnego do zbrodni i jego w pierwszej linii uważałem za mordercę lorda Cheshbourn, przyszedłem do przekonania, że morderca miss Fairhatter musiał utrzymywać z nim stosunki. Sznurowadło od gorsetu wzmocniło moje podejrzenie w tym kierunku tembardziej, że miss Fairhatter takich sznurowadeł nie używała.

Krwawe zaś plamy na kołdrze tłómaczę sobie w ten sposób: Aresztowany mr. Fairhatter zeznał, że idąc powtórnie do willi Toma Dunde, spotkał się w ogrodzie z jakimś mężczyzną, z którym stoczył ciężką walkę. Kto był ten człowiek?

Z willi nikt w tym czasie nie wychodził do ogrodu; musiał to więc być włamywacz, który uciekał z willi ze skradzionymi klejnotami. Włamywacz sądził, że jest odkrytym. Attaché uważał go zaś za swego rywala. Między oboma wywiązała się gwałtowa walka. Mr. Fairhatter, znakomity bokser, wyszedł zwycięzcą i pokaleczył przeciwnika, przyczem powalał się jego krwią. Włamywacz ten w parę godzin później zamordował miss Fairhatter. Nic więc dziwnego, że pozostawił na kołdrze plamy, pochodzącej z jego krwawiącej lewej ręki.

— Kto jednak był tym mordercą i w jakim celu dokonał zbrodni? — zapytał inspektor.

— Mordercą tym był Rudy Bill, wspólnik Toma Dunde, z którym przed dwudziestu laty pracował razem w kopalni dyamentów. Dunde, jak później stwierdziłem, sam zamordował lorda Cheshbourn. Policja przybyła wtedy do jego domu, szukając mordercy. Wówczas szczęśliwym dla niego zbiegiem okoliczności udało się Dundemu wskazać na mr. Fairhattera, jako mordercę. Policji nie obawiał się.

Za nieszczęśliwą ofiarą cudzej zbrodni, mr. Fairhatterem, mogła się ująć tylko jego siostra. Dunde postanowił więc i ją usunąć z drogi. Wykonanie tej nowej zbrodni powierzył on Rudemu Billowi, dając mu w tym celu jedwabne sznurówki od gorsetu swej żony.

Na chwilę zapanowało milczenie.

Sherlok Holmes zamyślony palił fajkę, otaczając się kłębam dymu.

— I to więc jest już dla mnie zupełnie jasnym — odezwał się inspektor Stafford. — Jeszcze jedno tylko pytanie. Jaki cel mógł mieć król dyamentowy, mordując lorda Cheshbourn?

— I ja zadałem sobie zrazu to pytanie — odpowiedział wielki detektyw. — Znajac szczegóły dawniejszego życia Toma Dunde, wpadłem odrazu na właściwy trop. W mieszkaniu lorda Cheshbourn znalazłem znaczną ilość listów miłosnych, jakie mrs. Dunde pisała do niego. Znalazłem tam również kilka listów anonimowych z groźbami, pisanych, jak się później przekonałem, ręką Toma Dunde. Skoro się zaś dowiedziałem, że mrs. Dan-

de, przed zamażpójściem za Toma była szansonetką w Nowym Yorku i tam poznała lorda Cheshbourn, zbrodnia ta przestała być dla mnie zagadką. Tom Dunde kochał żonę do szaleństwa, z całą namiętnością. Przeczował jednak, że nie odpłaca mu ona wzajemnością. Odkrywszy więc, że żona obdarza swoją miłością lorda Cheshbourn, zamordował go.

W tym celu wywabił go pod jakimś pozorem z powozu i pchnął z tyłu nożem. Był to ten sam nóż, którym później w ogrodzie lorda Cheshbourn, chciał mnie zarznąć Rudy Bill. Nóż ten otrzymał Bill od Toma Dunde i on to ułatwił mi poszukiwania. Wiedziałem, że takimi nożami posługują się w Afryce Buszmani, obcinając głowy swoim wrogom.

Przypuszczenia moje potwierdziły się w go-spodzie pod „Białym koniem“. Zobaczyłem tam, że Bill ma zranioną rękę na opasce. Przez podstęp odebrałem mu nadto część dyamentów, skradzionych Dundemu.

— Jakim jednak sposobem ocalałeś się pan, mr. Holmes z sideł, zastawionych na pana przez bandytów, którzy nasłali na pana fałszywego sługęcego?

— Nie sprawiło mi to żadnych trudności. Bill sprytnie to obmyślił, tylko zapomniał o istnieniu albumu zbrodniarzy, w którym zaraz odnalazłem i mego nowego sługęcego Jamesa, a właściwie Nicka.

— Co jednak stało się z tym łotrem Tomem Dunde? Czy poszukiwania policji doprowadziły do jakiegoś rezultatu? Powinien on kilka razy wisieć.

— To przebiegły łotr! Jednego wspólnika, Rudego Billa, sam zamordował. Drugiemu, Nickowi, kazał zamordować Harrego, zamykając go równocześnie w piwnicy, razem z ofiarą.

W ten sposób pozbył się ostatniego świadka. Czas już uczynić tego łotra nieszkodliwym.

Na tem Holmes zakończył swoje opowiadanie. Inspektor Stafford pożegnał się i opuścił mieszkanie.

— A teraz zabierajmy się do roboty — rzekł wielki detektyw do swego ukochanego ucznia. — Chodź się przebrać! Musimy ująć Toma Dunde.

Po tych słowach znikli obaj detektywi w garderobie.

Po godzinie wyszli już z powrotem, lecz zmienieni do niepoznania.

Sherlok Holmes wyglądał na starszego mężczyznę w wieku około pięćdziesiątki, ze szpakowatą czarną brodą i łysiną na głowie; skromne i pojedyncze ubranie dopełniało toaletę detektywa.

Harry ubrany wytwornie z elegancką blond bródką i pretensjonalnie ufryzowanymi włosami, przypominał żywo typ londyńskiego lowelasa.

— Zrobisz na niej pożądane wrażenie — rzekł Holmes, bacznie oglądając ucznia.

— Na kim, mistrzu?

— Nie zgadujesz? Na mrs. Dundę.

— Przecież ona siedzi w więzieniu.

— My ją uwolnimy.

Harry nie mógł ze zdziwienia przyjść do słowa.

— Jest więc niewinna?

— Ani śladu!

— Czemuż więc zamierzasz ją mistrzu uwolnić, czy posłesz w ślad za nią konstablów?

— Ależ nie. Ty jedynie będziesz jej towarzyszyć. Pojedź z nią choćby do Nowego Yorku, lub nawet na koniec świata, udając zakochanego.

— Na cóż się to może przydać? — pytał zdziwiony Harry.

— Nie możesz się domyślić? W ten sposób jedynie schwytamy Toma Dundego. Wiesz o tem, że Dundę kocha szalenie swoją żonę. Miłość tę musimy wyzyskać. Tom dowie się jutro z dzienników, że jego żona została uwolnioną i wyjechała. Otóż nie mam najmniejszej wątpliwości, że Tom będzie ją chciał odszukać i wyjedzie za nią, w Londynie bowiem nie może się z nią spotykać. W ten sposób wpadnie nam w ręce bez trudu. Podeba ci się mój plan?

— Ależ to znakomicie obmyślane! Jakaż minę będzie miał inspektor Stafford, gdy mu przyprawimy Toma Dundę.

— Cały ten plan ułożyłem w najdrobniejszych szczegółach. Ponieważ z naszymi władzami i urzędnikami nie doszedłbym końca, więc musimy tu użyć podstęp. Cichaczem wydobędę ją z więzienia i wyjdę z nią przez bramę lewego skrzydła. Przedstawię się jej, jako sługa Waszej lordowskiej mości i powiem, żeś się Wasza lordowska mość tak zakochał, że chcesz wszystko poświęcić, aby ją tylko oswobodzić. Ty zaś zabierzesz ją do zamówionego automobilu i uciekniesz z nią, zostawiając jej wybór schronienia, o czem natychmiast mię zawiadomisz. Ja tymczasem z kilkoma konstablami będę czuwał nad waszą kwaterą, czeka-

jąc na Toma Dundę, który zaraz odszuka żonę o czem nie mam najmniejszej wątpliwości.

— Doskonale! Znakomite! — wykrzykiwał Harry z zadowoleniem.

— Zalecam ci przytem jak największą uwagę, mój chłopcze. Ta kobieta jest zdolną do wszystkiego.

— Bądź spokojny, mistrzu, będziesz ze mnie zadowolony.

— Allright! Chodźmy więc.

Harry pobiegł na miasto.

Sherlok Holmes zaś skierował się do więzienia. Udekorowany dwoma orderami z wojny hiszpańsko-amerykańskiej, zaopatrzony nadto w znakomite świadectwa służbowe, przedstawił się detektyw dyrektorowi więzienia i został przyjęty na dozorcę oddziału kobiecego.

Poprzedni dozorca, przekupiony poprzednio przez Sherloka Holmesa, udał ciężko chorego i uwolnił się ze służby. Sherlock Holmes odrazu objął swoje obowiązki. Skoro tylko noc zapadła, wszedł po cichu do celi mrs. Dundę i w krótkich słowach objaśnił ją o celu swego przybycia. Mrs. Dundę z radością przyjęła propozycję. Okryła się płaszczem i oboje wysunęli się bez szmeru na dziedziniec, po którym chodził strażnik. Sherlock Holmes, upatrzawszy stosowną chwilę, rzucił się na wartownika z tyłu i obaliwszy go na ziemię, związał go i zakneblował.

Ucieczka powiodła się świetnie. Na ulicy czekał Harry, jako lord Bromley z automobilem.

Detektyw, wróciwszy do domu, szybko się przebrał i czekał na list od Harrego.

Ten nadszedł dopiero na drugi dzień wieczorem. List zawierał następujące słowa:

„Mieszkamy w małej willi w Stamford Hill. Ach, mr. Holmes, pan się bardzo pomyliłeś! Ta kobieta nie może być zbrodniarką. Jakaś straszna tajemnica otacza ją i przygniata jej duszę. Jakieś fatum złowrogie stworzyło tę sytuację fatalną, w której wszystko zwraca się przeciw niej. Wypadki tak się nieszczęśliwie skomplikowały, że ta piękna, szlachetna kobieta miała paść ofiarą omyłek i być wydaną niewinnie prawie na śmierć. Jestto najpiękniejsza i najszlachetniejsza kobieta na świecie. Wszystko, co mówi, jest czystą prawdą. Spodziewam się, że niezadługo pana zobaczę, aby go o tem przekonać.

Pozostaje zawsze Tobie oddany, mistrzu

Twój Harry Takson.

Stamford Hill, Great Eastern Road“.

Sherlok Holmes zmiął list i cisnął nim o ziemię. W pierwszej chwili ogarnęła go złość, później zaczął się śmiać tak serdecznie, że nie słyszał pukania mr. Stafforda, który, niedoczekawszy się odpowiedzi, wszedł bez zaproszenia do pokoju.

— Wiesz pan najnowszą wiadomość, mr. Holmes — rzekł. — Mrs. Dundę uciekła. Przeklęty pies, dozorca, otworzył jej drzwi. Ale z czego się pan tak śmiejiesz? Cóż w tem komicznego?

— Tak, mr. Stafford, to bardzo komiczne. Tym przeklętym psem, dozorca, byłem ja we własnej osobie. Ale musimy się spieszyć. Musisz pan jechać natychmiast z kilkoma dzielnymi konstablami do Stamford Hill, aby uchronić Harrego Taksona od wielkich nieprzyjemności.

— Harrego? Czegóż on tam szuka?

— Mr. Dundego.

— Do stu piorunów nic nie rozumiem.

Sherlok Holmes opowiedział inspektorowi dokładnie o wypadku ostatniej nocy i dał mu do przeczytania list Harrego.

Inspektor zaczął się śmiać.

— A to doskonale! — zawłał. — Biedny chłopiec zakochał się po uszy. To śmieszne doprawdy. Kiedyż jedziemy do Stamford Hill?

— Natychmiast! Obawiam się, że położenie Harrego nie jest tak śmieszne, jak pan sądzisz. Ludzie, których weźmiemy, nie mogą być w mundurach. Willę mrs. Dundę musimy osaczyć tak, aby nas nikt nie mógł zauważyć.

— Allright!

W pięć minut później podążało na rowerach dwunastu cywilnych agentów pod dowództwem Sherloka Holmesa i inspektora Stafforda, rozmaitemi drogami do Stamford Hill.

Harry, skoro tylko znalazł się w automobiliu obok mrs. Dundę, zaraz podjął usiłowania, aby plany swego mistrza w czyn wprowadzić.

— Musimy starać się o ile możności zyskać jak największe oddalenie od Londynu — mówił do uciekającej.

Ta w gorących słowach złożyła mu najpierw wyrazy szczerzej podziękii za ocalenie, a następnie odparła:

— Byłoby to pod każdym względem nader głupiem, mój panie, gdybyśmy wogóle mieli Londyn w automobiliu opuszczać. W kilku godzinach będą już wszystkie posterunki policyjne na kilkaset kilometrów w około o ucieczce mej zawiadomione i niechybnie pochwycą nas. Znam ja

jednak dom, gdzie na razie będziemy mogli znaleźć zupełnie bezpieczne schronienie.

— Cóż to za schronienie, lady?

— Dawniejszy hotel dyabelski — szeptała mrs. Dundę. — Znajduje on się w Stamford Hill, a nazwę nadało mu miejscowe podanie. Mąż mój kupił ten dom przed kilku laty, żaden człowiek nie wie jednak o tem. Dom stoi zupełną pustką i możemy z zupełnym spokojem tam się zwrócić.

Harry zgodził się na propozycję, zadowolony, że cała afera tak szybki a pomyślny wzięła obrót.

Hotel dyabelski w Stamford Hill zdawał się się być zupełnie wymarłym, gdy Harry ze swą towarzyszką tam przybył.

Mrs. Dundę okazała wkrótce, że z wnętrzem domu jest doskonale obeznana. Nacisnęła ukryty przy wejściu guzik i w tej chwili zajaśniało w westybulu elektryczne światło. Razem z Harrym udała się następnie przez wyścielone dywanem schody na górę i tu znowu oświetliła wnętrze elektryką. Wkrótce cały dom jaśniał elektrycznym światłem jakby wewnątrz niego odbywało się jakieś wielkie i uroczyste przyjęcie.

Wkrótce jednak światła wszystkie zgasły same, a tylko pokój, w którym schronili się mrs. Dundę z fałszywym lordem Bromley, pozostał oświetlonym.

Był to wspański i z przepychem umeblowany buduar kobiecy. Harry ze zdumieniem oglądał zbyt liczne przedmioty, pamiętny jednak na zasady swego mistrza, powstał i zwrócił się do uśmiechniętej gospodyni domu:

— Pozwoli pani, że na pół godziny ją opuszczę, mrs. Dundę — rzekł — pragnąłbym zaczerpnąć nieco świeżego powietrza i pomyśleć o środkach żywności.

Potrząsnęła głową i klasnęła w ręce. W tejże chwili pojawiło się dwóch lokai po rozkazy. Poleciła im przygotować dla lorda Bromley i siebie obfita wieszczkę. Harry pojął obecnie, że nie znajduje żadnego pozoru, pod którym mógłby się oddalić. To też korzystając z chwili gdy mrs. Dundę zajęta była rozmową ze służącymi, wysunął się niespostrzeżenie za drzwi.

Z trudem odnalazł schody i dotarł do bramy domu, przekonał się jednak z rozczarowaniem, że była zamknięta. Napróżno wysilał się w ciemnościach otworzyć bramę, nie pozostawało mu nic innego, jak powoli wrócić z powrotem do oświetlonej sypialni mrs. Dundę. Gdy zbliżał się

po cichu do drzwi pokoju, słyszał jeszcze, jak mrs. Dundę wydawała rozkazy służącemu, polecając mu jakiś list wyekspedyować dopiero następnego dnia.

Gdy Harry wszedł do pokoju mrs. Dundę leżała na szeszlengu i czytała londyńskie dzienniki.

— Co pani teraz zamierza, mrs. Dundę? — zapytał.

— Będę oczekiwać, aż przybędzie tu mój mąż, by mnie zabrać ze sobą. Sama niewiele zdołam zrobić. Tom Dundę jednak jest człowiekiem, który potrafi przywrócić sobie i odpowiednie stanowisko społeczne.

— Pani rzeczywiście pragnie połączyć się znowu z tym zbrodniarzem? — zawołał Harry zdumiony.

— Z wszelką pewnością, mój przyjacielu!

— Co? A to wszystko coś mi pani o swej osobie opowiedziała?

— Wszystko było zmyślane, lordzie Bromley. Czy wy na prawdę przypuszczaliście, że zdołacie oszukać mnie i Toma Dundę? Wiesz pan o tem, że Szerlok Holmes był ustawicznie przez nas obserwowany i Tom Dundę znał naprzód wszystkie jego zamiary i plany. Gdyś pan przestąpił próg tego domu, wiedziałam i ja już, kto pan jesteś. Sam wpadłeś w sidła młodzieńcze, a wyjść z nich już nigdy nie zdołasz, aczkolwiek mocno żałuję, że młodzieńcza krew twoja musi popłynąć.

Instynktownie chwycił Harry za kieszeń, w której tkwił rewolwer.

— Co to ma znaczyć? — zapytał ostro i przystąpił do drzwi, które dopiero co przymknął za sobą; te jednak były teraz zamknięte.

— Na nic ci się to nie przyda, mój przyjacielu, szukać jakiegokolwiek wyjścia — rzekła mrs. Dundę, a na twarzy jej zaigrał wyraz szatański, odzwierciadlając całą przewrotność jej duszy.

— Cóż to? — zawołał Harry z wściekłością — zamierzasz pani uwięzić mnie w tym pokoju? Ostatecznością byłoby dla mnie walczyć z kobietą, jednak miej się pani na baczności, gdy mnie do walki tej zmuszasz.

Z tymi słowy wy dobył rewolwer i wymierzył go do niej.

— Będę liczył do trzech, mrs. Dundę. Gdy drzwi do tej chwili nie otworzą się, to przemocą utoruję sobie wyjście.

— Licz pan swobodnie — odparła niedbale mrs. Dundę i spojrzała na ścianę. — Raz, dwa...

Uwagę Harrego zaniepokoił w tej chwili nie-

spodziewany szelest. Tapeta otworzyła się nagle w samym środku ściany i do pokoju wszedł wysoki mężczyzna. Włosy miał on zwichrzone, ubranie okryte brudem i kurzem, a ponurym ogniem płonące oczy utkwiał groźnie w Harrym, który wydał okrzyk przerażenia i w ślad zatem, skierował broń na przybysza.

— Tom Dundę!

Szyderczy śmiech był na to odpowiedzią.

— Tak jest, Tom Dundę, którego spodziewaliście się, błazny, tak łatwo schwytać!

— Ręce do góry, człowieku, lub strzelę — krzyknął Harry, nie tracąc ani na chwilę panowania nad sobą.

— Ręce do góry, mówię...

Tom Dundę zrobił rzeczywiście ruch, jakby chciał ręce nad głowę złożyć. Gdy jednak prawa jego ręka znajdowała się w połowie wysokości, pocisnął guzik, który znajdował się w drzwiach tapetowych. Harry strzelił, lecz kula poszła w górę, gdyż w tej samej chwili zachwiała się pod jego nogami podłoga, następnie zapadła się i obróciła, a w następnym momencie uczeń wielkiego detektywa runął do piwnicy, jakie sześć metrów w dół. Małą przestrzeń piwnicy, oświetlał jedynie wąski promień księżyca, wdzierający się przez małe, zakratowane okno do wnętrza.

Ponad Harrym zamknęły się napowrót ruchome drzwi w podłodze pokoju.

Za zbolalimi członkami podniósł się Harry ze ziemi. Więzienie, w którym się znajdował, była to wąska, nie dłuższa nad pięć kroków nora. Uwięziony zaraz rzucił się do okienka, próbując na próżno wyrwać kratę. Kraty niezwykle mocne, podobnie jak i ściany więzienia oparły się wszelkim próbom. W więzieniu uderzył Harrego, dziwny zwierząły zapach.

Wyczerpany zupełnie, spoczął na ziemi i zapadł natychmiast w głęboki sen. Po sześciu prawie godzinach, obudził się wreszcie i to pod wpływem strasznego snu. Zdawało mu się, że ktoś kłęczy na jego piersiach i żelazną pięścią dławi go za gardło.

Z okrzykiem przerażenia skoczył na równe nogi — piwnica była pusta.

Ale Harry czuł ciągle ucisk na piersiach i duszność w gardle; z trudnością zaledwie mógł oddychać. W piwnicy czuć było wstrętą, słodkawą woń, która odurzała go zupełnie. Więzień począł się coraz więcej krztusić. Dręczony strasznym bó-

lem, podskoczył do okna, lecz było ono zamknięte. Harry, zebrawszy resztę sił, wybił szybę i padł na ziemię bez zmysłów. Otoczyły go pary trujących gazów, wydobywające się obficie z otworów w ścianach piwnicy. Prąd świeżego powietrza wpadł od czasu do czasu do piwnicy, rozpraszając gazy. Harry stracił przytomność i od czasu do czasu dostawał konwulsyjnych drgawek.

Tymczasem Szerlok Holmes i inspektor Stafford z największą ostrożnością zbliżali się do hotelu dyabelskiego.

— Dom otoczony, mr. Holmes — szepnął cicho Stafford. — Sądzę, że możemy śmiało wejść i ująć tę kobietę.

— Nie gorączkuj się, kochany inspektorze — odrzekł szeptem wielki detektyw — zaczekaj pan tutaj, a ja pójde zobaczyć, czy niema drugiego wejścia. Z tymi słowy rzucił się Szerlok Holmes na ziemię i pełzając jak wąż, ku domowi, znikł w ciemnościach. Stafford czekał — upłynęło pięć minut — dziesięć minut — wreszcie minął kwadrans. Szerlok Holmes nie wracał, Stafford zaniepokoił się.

— Znowu nam zrobił figła — mruczał — pragnie znowu całą sławę zwycięstwa zyskać wyłącznie dla siebie. — To mówiąc, wziął do ręki rewolwer, przystąpił do bramy — była ona otwarta.

— Szczególne — mruknął — nie przypuszczałem, aby mr. Dundę tak nam ułatwiała nasze zadanie. Otworzywszy drzwi wszedł do słabo oświetlonego przedsionka. Z rewolwerem gotowym do strzału, szedł cicho po schodach. Wszędzie panowała cisza, nigdzie nie było śladu życia. Nagle usłyszał w jednym z pokojów, którego drzwi były uchylone, kobiecy głos.

Stafford, zdecydowany na wszystko, nagłym ruchem otworzył drzwi i podniósłszy rewolwer do góry zawołał:

— Ręce do góry!

Słów, do góry, nie zdołał jednak wymówić; w tej samej bowiem chwili, gdy wszedł do pokoju, zgasło światło; inspektor uczuł na gardle silną rękę. W okamgnieniu powalono go na ziemię. Opamiętawszy się, chciał się bronić. W tej samej chwili otrzymał z tyłu w głowę tak potężny cios gumowym kastetem, że stracił prawie przytomność.

— Mamy więc obu — dał się słyszeć głos męski, należący do Toma Dundę — i starego imłodego. Ale dołóż mu jeszcze, bo rusza się.

Stafford ogarnięty śmiertelnym strachem rzucił

się na bok, wskutek czego kastet zamiast na głowę, spadł na ramię inspektora, ubezwładniając je. Nędznica podniosła powtórnie kastet, wtem dał się słyszeć silny trzask i oślepiające światło zalało pokój. Tom Dundę z dzikiem przekleństwem podniósł się i wyciągnął rewolwer — wtem światło nagle zgasło. — Dundę strzelił, lecz chybił. W tej samej chwili światło zabłysło powtórnie, huknęły jeden po drugim dwa strzały i światło znowu zagasło. Mr. Dundę rzuciła się do drzwi, a Tom Dundę z przeraźliwym jękiem padł na ziemię. Światło zabłysło po raz trzeci, do domu wpadli przebrani konstable, zwabieni strzałami.

Szerlok Holmes, rozstawszy się ze Staffordem, znalazł tajemne wejście do wnętrza domu. Przejściem tem doszedł aż do drzwi tapetowych, zamakających pokój, w którym znajdowali się Tom i jego żona. Kryjąc ruchy swe manewrami ze światłem, celnym strzałem powalił na ziemię Toma i rzucił się za uciekającą mr. Dundę, która stała rozpaczliwy opór. Na nic jej się to jednak nie przydało. Wkrótce została skrupowaną przez konstablów. Szerlok Holmes począł się teraz bacznie rozglądać po pokoju i w podłodze zauważył natychmiast cztery cienkie szpary, które zdradzały istnienie ruchomych drzwi. Wielki detektyw otworzył je przy pomocy kilku konstabli i spuścił się na dół. Tu omal, że nie omdlał, tak go odurzyła woń, wypełniająca piwniczkę. Szerlok Holmes podniósł szybko Harrego i wkrótce przy pomocy sznurka był już z powrotem wraz z nieprzytomnym Harrym w pokoju. Harrego położono na ziemi, zerwano z niego ubranie i rozpoczęto gorliwe zabiegi, aby mu wrócić przytomność. Młodzieniec po niedługim czasie odzyskał zmysły, musiał jednak przeleżeć potem kilka tygodni w szpitalu, z powodu ciężkiej choroby, wywołanej ostrem zatruciem się gazami w piwnicy.

Szerlok Holmes znowu uratował życie nie tylko Harremu, ale także i inspektorowi Staffordowi.

Konstable związali tymczasem Toma Dundę i jego żonę. Stafford podniósłszy się z trudem z ziemi dziękował Szerloкови za ratunek.

— Musiałeś pan mieć jakąś podstawę — rzekł następnie — żeś pan odrazu, mr. Holmes, zaczął szukać drugiego wejścia?

— Well! Gdybyś pan był się zastanowił, nie byłbyś pan tu wchodził przez drzwi, zwłaszcza, gdy dałem panu do przeczytania list Harrego.

— Jakto?

— Czyś pan rzeczywiście uwierzył, że list ten pisał Harry, który od tylu lat jest moim uczniem i oddał mi wiele nieocenionych przysług? Czy pan myślisz, że dałby on sobie po takiej praktyce zawrócić głowę tej nędznicy? Ha! Ha! Ha! — wybuchnął Holmes śmiechem.

— Do stu piorunów! Jakież to proste, a ja na to nie wpadłem. Musiał przyznać, że Szerlok Holmes znowu pobił policję na całej linii. Zwycięstwo Szerloka Holmesa było rzeczywiście nieocenione. Śledztwo wykazało, że bogactwa Toma Dunde były tylko legendą. Od dwunastu miesięcy popełniał ten nędznik zbrodnie za zbrodnie, aby uzyskać środki na zbytkowne życie i aby piękność jego żony mogła błyszczeć w całym Londynie.

Tom Dunde zginął na szubienicy, jego godna współniczka, żona, skazana została na długie więzienie. Dom Toma Dunde w Stamford Hill zburzono, a w jego miejscu wybudowano kaplicę.

KONIEC.

Nr. 29 naszego Tygodnika zawiera między innemi sensacyjną powieść z przygód *Szerloka Holmesa* pod tytułem:

Tragedya zazdrości.

Uwagi i przestrogi pana Kuśtyki,

c. k. emerytowanego woźnego sądowego dla kolegów, będących w czynnej służbie.

Kochani cesarsko-królewscy Rodacy i Koledzy!

Jestem dzisiaj w usposobieniu hemoroidalno-kaczenjamersko - pesymistycznym, jak filozofia określa, i będę Wam krakał, jak smutna wrona na suchej wierzbie.

Co zasepiło, mój tak zwykle pogodny, słoneczny widnokrąg myślenia — nie pytajcie mnie o to, zapytajcie się raczej mojej żony i policzcie, kto ma ochotę, ilość rozbitych talerzy i garnków, które geniusz ludzki wymyślił do wznioślejszych celów, niż rozbijania ich na mężowskiej głowie.

„Świat jest dobry“ — powiedział jeden wielki filozof, a ja, drugi filozof, dodaję:

„Świat jest dobry, ale ludzie są źli“! Wszędzie jest tylko obłuda i kłamstwo.

Pomijam wszelkie zbrodnie i okropności, które się dzieją na świecie i na szpaltach sensacyjnych dzienników.

Czytaliście o bombach krakowskich, które nawiązały tyle huku i smrodu.

Pomijam owego księcia czy króla Putyre, który toła się z kryminału do domu waryatów i re-tour i robi tyle nieprzyjemności naszej Przeshiretnej c. k. Policji.

Nie będę Was nudził opisem strasznej zbrodni dzieciobójstwa. Jakto niegodna matka z Grzegórzek zamordowała własne dziecko, które przyszło na świat z jednym okiem, a pięciu koron nie chciała nawet zapłacić pewnej kobiecie, która

w przykrych. a stanowczych chwilach spieszy damom z pomocą.

Ja wejrzę mojem okiem w drobne stosunki i odniesienia towarzyskie i wykażę Wam, jak na dłoni, że wszędzie panuje fałsz i obłuda.

I tak: przychodzisz w odwiedziny do swoich znajomych.

Gospodarz pada ci w ramiona z głośnym okrzykiem:

— Ach! co za miły gość!... Ktoby się był spodziewał!

A myśli sobie tak:

— Niech cię dybli wezmą! Naprawdę, nie spodziewałem się, że mi wleziesz teraz włóczykiju, kiedy za pół godziny ma podać służąca do stołu.

I dalej, śliniąc cię po gębie, jak boa swą ofiarę zanim ją połknie, krzyczy ci nad uchem:

— Co za szkoda, że dopiero co zjedliśmy obiad, zaprosiłbym cię na talerz rosółu.

Ale myśli sobie:

— A guzik!... Obiad jest, ale nie dla ciebie! Idź dziadu dalej, niech cię Bóg opatrzy!

Wreszcie z bólem serca częstuje cię papierosem i prawdziwie rozpromienia się, dowiedziawszy się, że nie palisz.

Uznanie jego dla ciebie wzrasta, że nie pijesz, bo to go uwalnia od poczęstowania cię kieliszkiem wódki, którą ma dla siebie w kredensie. Za to szklanek wody, której zażądałeś, bo jest dzień

gorący — o! tą podaje ci z gotowością i usługowością kelnera.

Wreszcie zapowiada ci, że poprosi żonę do salonu, a w duchu sobie myśli:

— Jeżeli cię ta stara czarownica nie wykurzy z chałupy to jestem gipsem!...

Ale i ty nie jesteś w ciemną bity i posłyszawszy o takiej pani a la Kuśtykowa, oświadczasz, że musisz z tego szczęścia zrezygnować, bo masz bardzo mało czasu i kazawszy ucałować rączki pani dobrodziejce, kontent jesteś, że ten rozpaczliwy akt możesz wykonać per procura.

Gdy wychodzisz, gospodarz odprowadza cię do przedpokoju.

Z grzeczności? No, tak! Ale przy tej sposobności patrzy ci pilnie na ręce, czy nie ściągniesz czego z szaragów, bo to — strzeżonego, Pan Bóg strzeże!...

Wchodzisz z kim do jakiego lokalu — puszcza cię pierwszego! Czy z szacunku dla ciebie? No, tak!... Ale przy tej sposobności ma pewność, że nie dasz mu w łeb z tyłu, a w danym razie, to on to woli tobie uczynić!

Ja też dlatego nie lubię chodzić po wizytach i przekładam nad nie piękne towarzyskie życie w knajpie.

Temi słowami kończę moją dzisiejszą konferencję, a rozpoczynam ósmą bombę!...

Jeszcze mi zostało trochę piwa w szklance, to wam jeszcze coś powiem!

Knajpa ma wiele dobrych stron i zalet. Niektóre knajpy mają nawet dwie strony. Jedną, którą się wchodzi głośno i jawnie, a drugą, którą się po cichu i chyłkiem wychodzi.

Przezorny gospodarz zamyka tą drugą stronę na klucz, żeby czasem gość nie wyszedł, zapomniawszy zapłacić.

W niektórych knajpach jest oprócz piwa, wódki, zimnych i gorących zakąsek, także obsługa damska i kredyt.

Ale ostatnie te rzeczy są wprawdzie pociągające, ale także i naciągające.

Dlatego Szanowni Koledzy, pijcie tylko za gotówkę, a kochajcie tylko żony — rozumie się własne.

Wspominałem, że knajpy mają swoje dobre strony, niektóre nawet i orchestry, ale ja tego nie lubię, bo zanadto w głowie huczy. A żeby zaś ten cel osiągnąć, to od tego jest piwo w knajpie, a żona w domu, która potrafi ci tak do łba nahuścić, jak żadna muzyka. Biada temu, kto nie jest muzykalny!...

Ozdobne OKŁADKI

z kolorową ryciną tytułową, wystarczającą na oprawę 25-ciu zeszytów tygodnika naszego

„Szerlok Holmes“ ukazały się już i są do nabycia we wszystkich księgarniach i trafikach po cenie 50 hal. — Za przesłaniem 60 hal. w markach pocztowych wysyła okładki Administracja: Kraków, ul. Zielona L. 7.

Na gwiazdkę!

Najodpowiedniejsze podarki książkowe dla młodzieży

Na gwiazdkę!

Czerwony Napoleon

Cykl najciekawszych powieści z wojen prowadzonych przez Czerwonoskórych w obronie swej ojczyzny.

Tom ozdobnie oprawny, zawierający 10 oddzieln. powieści, z 10 kolorowymi ilustracjami, w objętości 360 stronic.

Cena 2 korony. Za zaliczką 55 h. więcej.

Bohater Dzikiego Zachodu

Cykl najciekawszych powieści z życia i przygód wojennych najdzielniejszego pioniera cywilizacji na kresach dalekiego Zachodu.

Tom ozdobnie oprawny, zawierający 10 oddzieln. powieści, z 10 kolorowymi ilustracjami, w objętości 360 stronic.

Cena 2 korony. Za zaliczką 55 h. więcej.

Powyższe dzieła są do nabycia we wszystkich księgarniach oraz wprost w Administracji: Kraków, fach 30.

SZERLOK HOLMES

TYGODNIK KRYMINALNY.

Prototypem nieustrzonego, pełnego poświęcenia szermierza porządku i ładu społecznego, był i będzie po wszystkie wieki

SZERLOK HOLMES

najgenialniejszy detektyw i kryminalista, jakiego kiedykolwiek ziemia wydała. Wolny i niepodległy, surowy dla siebie i innych, współczujący z nieszczęśliwymi i szlachetny — nie oddał on genialnego talentu swego w przedajne usługi żadnego rządu, żadnej uprzywilejowanej warstwy społecznej lub koteryi politycznej, lecz całem swoim duchowem i fizycznym jestestwem służył wielkiej Ojczyźnie człowieka — Ludzkości.

Nigdy jeszcze nie było detektywa, któryby w równej mierze łączył **rozum, siłę, przenikliwość, gruntowną wiedzę, odwagę i przytomność umysłu** i wszystkie te rzadkie dary tak szlachetnie i bezinteresownie oddawał na usługi społeczeństwa

Przygody Szerloka Holmesa w Londynie, Paryżu, Wiedniu, Pradze, Petersburgu, Madrycie, Nowym-Yorku,

Chicago, San Francisco, Kairze, Indyach, Australii, jego niepospolita przenikliwość, ruchliwość jego umysłu, jego sprytne kombinacye, które się opierają na głębokiej znajomości człowieka, a często i na podstawie naukowej, i prowadzą go zawsze do pożądanego celu, jego żelazna energia, zwalczająca przeszkody — to stanowi treść sensacyjnych, wysoce interesujących, przykuwających uwagę opowiadań

O SZERLOKU HOLMESIE.

Prócz niezwykłych przygód interesującego tego człowieka — podajemy ponadto w każdym numerze naszego „Tygodnika“ — przegląd bieżących a ciekawych wypadków kryminalistycznych, jak niemniej obfitą wiązanek humorystycznych zdarzeń, epizodów i intermezzów z sali sądowej i ogółem z zakresu kryminalistyki.

Każdy numer zawiera prócz tego nieocenione humorystyczne

Uwagi i przestrogi Pana

c. k. emerytowanego Wóznego sądowego, który ze skarbnicy swoich doświadczeń życiowych i biurowych sypie prawdziwe klejnoty, mieniające się jak rakiety tysiącem barw w promieniach jego dowcipu i pogodnej ironii.

Niniejszem podajemy spis najnowszych Numerów, traktujących między innymi artykułami także i o przygodach tego genialnego Króla detektywów.

Wyznawcy dyabła.

Pierścień Maryi.

Fałszywy generalissimus.

Dusiciel z Pragi.

Zbrodnicza droguerya.

Katastrofa budowlana.

Męczyzna pokojówką.

Trzyńście kul.

Rabuś dziewcząt.

Tajemnica pergaminu.

Miłosny szal króla złodziei.

Zagadkowy oblubieniec.

Tajemniczy szofer.

Podróż na północ.

Joly, pies policyjny.

Yoril, bandyta uliczny.

— Co sobotę regularnie ukazuje się numer naszego Tygodnika, opatrzonej piękną, kolorową ilustracją. —

Cena pojedynczego Nru 30 hal. = 15 kop. = 25 fen.

Do nabycia we wszystkich księgarniach, agencjach dzienników i trafikach, oraz wprost w Administracji.

Adres Redakcyi i Administracyi Tygodnika Szerlok Holmes: Kraków, Zielona 7.

Skład główny na Królestwo polskie: Księgarnia Komisowa w Warszawie, ulica Waliców 5.